

5

**humanum est**



**IWAN DRACZ**

**Słońce i słowo**

**Wydawnictwo Literackie**

Iwan Dracz (ur. 1936) — wybitny ukraiński poeta — nie od dziś darzy sympatią, na równi ze swoją ojczyzną, nasz kraj i naszą kulturę.

W wierszach Dracza jest pełno rozważań nad słowem: mówi się o jego kształtach, odmianach, rozmaitych znaczeniach, słowo raz bywa synonimem sztuki albo też pseudonimem życia, kiedy indziej staje się przesłanką człowieka myślącego i wrażliwego. Poezja Dracza naładowana jest zdolnością do filozoficznych uogólnień, jako że podłączona jest przez autora świadomie do wysokiego napięcia myśli i zdobyczy intelektualnych całej ludzkości.

Poeta używa przewagi siłom dobra — dostrzega je wśród przedstawicieli ludu, nie ograniczonego do pojęcia chłopstwa. W walce z rozlicznymi przejawami zła poeta nie skąpi jaskrawych barw, jadu sarkazmu, śmieszności groteski, ciętych sformułowań, aby wyprowadzać na światło dzienne rozmaite poczwary-przywary, aby wyliczać ich miałość i ohydę. W tej walce wykorzystuje obok rodzimych tradycji satyrycznych Szewczenki, Franki, antimieszczkańskich inwektyw Płużnyka i Bazana tradycje Majakowskiego i Zabołockiego, Préverta i Pabla Nerudy.

(według *Postłowa* Floriana Nieuważnego)



**humanum est**



# SŁOŃCE I SŁOWO

**humanumest**



**IWAN DRACZ**  
**SŁOŃCE I SŁOWO**

Wybór i posłowie  
Florian Nieuważny

Przekład  
Barbara Dohnalik  
Waldemar Gajewski  
Józef Lenart  
Jerzy Litwiniuk  
Bazyli Nazaruk  
Florian Nieuważny  
Tadeusz Nowak  
Jerzy Pleśniarowicz  
Krzysztof Rozner  
Włodzimierz Słobodnik  
Stanisław Ulicki  
Józef Waczków

**WYDAWNICTWO LITERACKIE KRAKÓW—WROCŁAW**

Wybór oparto na podstawie tomów wierszy Iwana Dracza:

*Soniasznyk*, Deržlitwydaw Kyjw 1962

*Protuberanci sercia*, Wydawnictwo Mołod' Kyjw 1965

*Batady budntw*, Radianśkyj Pyśmennyk Kyjw 1967

*Do dżereł*, Dnipro Kyjw 1972

*Koriń i krona*, Radianśkyj Pyśmennyk Kyjw 1974

*Kyjwśke nebo*, Wydawnictwo Mołod' Kyjw 1976

*Soniasznyj feniks*, Wydawnictwo Mołod' Kyjw 1978

*Amerykańśkyj zoszyt*, Wydawnictwo Mołod' Kyjw 1980

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Literackie,  
Kraków 1983

ISBN 83-08-01016-4

## BALLADA O SŁONECZNIKU

Miał słonecznik ręce i nogi,  
Miał ciało szorstkie i zielone.  
Biegał na wyścigi z wiatrem,  
Wdrapywał się na grusze i kładł za pazuchę zgnilki,  
I kąpał się koło młyna, i suszył się na piasku,  
I strzelał z procy do wróbli,  
Podskakiwał na jednej nodze,  
By z ucha wylać wodę —  
I raptem zobaczył słońce,  
Smagłe urodziwe słońce  
W złotym migotaniu kędziorów,  
W czerwonej, wypuszczanej na spodnie koszuli,  
Gdy pedałowало na rowerze,  
Omijając chmury na niebie...

I zastygł na lata i na stulecia  
W swym złotym niemym zachwycie.  
— Przewieź mnie, wujciu, choć troszkę,  
A nie, to posadź chociaż na ramę.  
Wujciu, czyżbyś mi tego żałował?!

Poezjo, słońce me pomarańczowe!  
Co chwila jakiś chłopczyzna  
Odkrywa ciebie dla siebie,  
Aby na wieki zostać słonecznikiem.

*Florian Nieuważny*



Wyszedł z radia czarny lew,  
O północy obudził me serce.  
W jego czarnych i ciężkich łzach  
Kryształową trumnę ujrzałem.

Był to dumny i zasmucony lew,  
Czarny lew ze złocistą grzywą,  
Brat ryby miecza grającej iskrami,  
Tam gdzie wre atlantycka łza.

Wzywał na pogrzeb brata  
Do trumny, gdzie z zastygłymi rękami  
Leżał siwy i smagły od słońca lew  
O dziecinnym wrażliwym sercu.

*Bazyli Nazaruk*

*Świat rozłożył na cząstki Picasso.*

*Łza ścieka.*

*Rozłóż ją. No, spróbuj!*

**E. WINOKUROW**

**I**

Lato napojem się rozlało,  
rozłożyło się jadem lato,  
Lato kipiało wiśniowym zarzewiem,  
Basem się śmiało,  
dojrzewało,  
Mrugało okiem zielonobrewym.  
A my za ręce — aż chrzęst po palcach różgą,  
Aż rechot pod pachy osik wychynał.  
Spoza fal książek,  
w białych stron plusku  
Odkryliśmy szalony jego kontynent.  
I raptem w gwarze sklepowym  
Wszystko zajaśniało, aż dzień się przestraszył!  
Wszystko zrobiło się modre, niebiesko-księżycowe —  
Rozjarzyła się Łza Picasso.  
I zajęły się gwiazdy dziewczyny,  
Zapaliły się kare:  
„A niech to gęś!”  
Toną w morzu, toną w nieb wyżynie —  
I my we łzie utonęliśmy.

**II**

Dzieci płaczą i płaczą drzewa.  
Mama nie ma oczu, lecz dwie łzy.  
Burzy fioletowy płacz — łka rzewnie,  
Synchrofazotrony szlochają jak lwy.  
Łzy przekazano orkięstrom i lirom,

Oddano w pacht twórcom,  
bo ludziom brak czasu —  
śpieszą donikąd

Artyści płaczą *Królem Lirem,*  
*Śniegami Kilimandżaro*  
i *Guerniką.*

### III

Przeszedł przez Moneta, Maneta, Cézanne'a,  
*Walkirią* zachłysnął się w Odessie...  
Minęło — i mnie on minie tak samo,  
A może go zgubię gdzieś tam.  
Cisi prorocy złośliwie szeptali:  
„To schizofrenik, nie pchaj mu się do oczu, miły”.  
A poetyckie męki Tantala  
Lękliwie uroczyły.  
Lecz w sercu ten katorżnik,  
w sińcach diabeł wraży,  
Dzień i noc miętosi glinę i żelazo.  
W czarnym swetrze mu do twarzy  
I z „L'Humanité”, co z kieszeni wyłazi.

Kapią atomowe łyzy, co we mgłę drzemią,  
Na czysty pędzel prawdą słońcą.

On sam — genialna łyza Ziemi,  
W spodniach przez tęczę zabrudzonych!

*Florian Nieuważny*

Zagasa wiolonczela. I od razu  
 Kontrabas umarł — pośpiesznie, nerwowo.  
 A skrzypka gra gorący grom ekstazy.  
 Grozę ekstazy białą, piołunową.

O, szanso moja, dzikim smyczkiem sięgnij  
 Płochliwych strun — i lgnąc w ich śliski dotyk,  
 Wejź w łono skrzypki, gdzie słowo się lęgnie,  
 Gdzie słowo dojrzeć chce w mękach niemoty.

Przyjdzie ciężarnej skrzypki rozwiązanie.  
 Orkiestrę mróz czarnego szoku przejmie,  
 Gdy słowo z pieluch jej bez chrztu powstanie,  
 By cel sam w sobie spełnić bezimiennie.

Sięgnij po słowo to. Nie wzbijaj go w chwałę,  
 Lecz po spartańsku — rozzute rzuć w mrozy.  
 Ciężkie od słońca, posępnie wspaniałe —  
 Przemieni się w soczyste grono grozy.

W zuchwałym uniesieniu zapamiętaj  
 I każdym dniem potwierdzaj to na nowo,  
 Że z muzyki, z goryczy jej przedśmiertnej,  
 Z jej macierzyńskiej agonii — jest słowo.

*Józef Waczków*

Pióro, skalpeliu mój ognisty,  
 Tyś mój opravca, czarny znój,  
 Tyś powołanie me wieczyste,  
 Pierwolub mój, pierwokwiat mój!

Ty dni pogardy ciąć się ważysz,  
 Sięgać do wnętrza, sięgać trzew,  
 Gdzie nie dostaną się janczarzy  
 W obłudnej, brudnej słownej grze.

I dni płochliwe, huczne, pyszne  
 I zwykłe, w zwykłym biegu lat,  
 I dni jak dzbanki spod Opiszni,  
 Pocięte krwawym błyskiem szpad,

I dni ginące bez ratunku,  
 Winogronowe ciepłe dnie,  
 Gdzie cicho stare śpią frasunki,  
 Skuliwszy się na samym dnie.

Dni promieniste, życiodajne  
 I dni, co z trudu sączą krew,  
 Trzęsące kabzą dni sprzedajne,  
 W których posoka słona wre.

Pióro to masza czarna dola,  
 By klęsk doznawszy, piąć się wzwyż,  
 Aż nie zaszumi nam topolą  
 Wbity w mogiłę zwykły krzyż.

*Florian Nieuważny*

Szybka okienna — to mała akwarela.

Misternie, z chińską gracją namalowane gałązki przeplatają się i poruszają, a nawet świecą w jasnym błękitcie — jedynie odbłask dwóch mlecznych lamp zastygł w cichym, drobniutkim migotaniu umierającego listowia...

Czterdziestoletnia kobieta i chłopczyk w granatowym bereciku:

— Mamusiu, przecież nie pójdę daleko.

— Mamusiu, jeżeli nawet pójdę daleko, to wszystko jedno, wrócę do ciebie...

Powietrze kruszy się na kawałki, nasycone chłodem i przemarzniętym niebem. Kłujące rdzawe kasztany — to wielkie złote jeże. Druty zwisają z ociążałych gęstych chmur i siwej, ślepej, otulonej w złote szale mgły. Cementowe podpory zioną młodym mrozem i cierpkim, słonym, prawie dębowym zapachem...

— Syneczku, a co będzie, jak wrócisz i mamy nie zastaniesz?

— Syneczku, a jak powrócisz z daleka, a mama weźmie i umrze?

Ciężarówki ostemplowane kolorowymi numerami ciepło i głucho prasują kołami wymyte asfaltowe zwoje płótna, a kasztany lecą z trzaskiem i płaskaniem hen z gęstwiny blaszanego podpalonego firmamentu, podskakują w przestrachu i, zrzuciwszy kłujące zielone kubraczki, turlają się zmęczone do gumowych podeszew mokrych trzewików przechodniów jędrnymi wyglansowanymi pińczkami...

— Mamusiu, a ja ci zostawię berecik, bylebyś tylko mnie puściła, a ja się nie boję samochodów, przyniosę ci kasztanów, bo ty jesteś moja najlepsza mamusia...

Przerębla w chmurach, słoneczna kaskada, czterdziestoletnia zamyślona kobieta i granatowy berecik leżący na jej kolanach.



Jeden pokój — na lewo,  
Drugi pokój — na prawo,  
Mój pokój — pomiędzy nimi.  
W jednym pokoju Robota  
Dniem i nocą wystukuje na maszynie.  
W drugim pokoju Rozrywka  
Beztrosko całuje się, popija,  
Przeklina zadziornie, aż uszy słoniowi wędną.  
— Goście-sąsiadki, zawitajcie dziś do mnie!  
Na jednym krześle usiadła Robota,  
Drugie figlarnie Rozrywka zajęła.  
— A gdzież ja, gospodarz, mam miejsce?  
Więc sam na jednym usiadłem,  
Drugie uprzejmie wskazałem Rozrywce.  
— Sąsiedzie, a gdzie dla Roboty masz krzesło?  
Na jednym zatem krzesle zasiadła Robota,  
Ja ostrożnie spocząłem na drugim.  
— Mój drogi, a gdzie Rozrywka ma usiąść?  
— Słuchajcie, a gdybym tak wniósł trzecie krzesło?  
...Obydwie milczące wpatrywały się w okno.

*Florian Nieuważny*

Zamierzchła struna, miedziana, basowa.  
 W jej szczycie gorycz wraz z miodem się chowa.  
 Zieloną magmą pośród chmur zastygła  
 W słoneczka karych, rozżarzonych tyglach.  
 Majestatycznym szum swój poszum czyni,  
 W żyłach podskórnych żywicę bursztyni.  
 Piersiasta, ołtarzowo stuświecowa,  
 Siostra wieczności — księżna prawiekowa...

Jakoś

w jednej chwili,

Jak ktoś

rylcem —

Aż iskry-iskrzyska  
 Wokół pnia wirują wszystkie naraz,  
 Aż pęka kora stara  
 I śwista, zamieć bystra —  
 Wokół miedzianego jądra  
 Żywotne elektrony, dwie wiewiórki ogoniaste,  
 Hej, królują na sośnie, w państwie okrąglastem.  
 W oczach błyskawica,  
 Wiewiórek płasawica,  
 Taniec je zachwyca  
 I pachnie żywica.

Na ostrych puentach wściekają się w twiście —  
 A od łoskotów i sosna tańczy zamasyście...  
 A w dole na igliwiu dwie młódki pięknołice —  
 Ciężarne, niezgrabne, pachnące żywicą —  
 Siedzą jak odlotne synogarlice;  
 Szyszki śmieciuszki na kraciastych spódnicach;  
 Przepasane chustkami, brązowolice,  
 Obciążone ciszą i bezruchem gołębice —  
 Dziwią się,

wydziewiają się,

nadzwiewiają się,

Jak tańczą wiewiórki-tanecznice.

I czują w porę dżdżystą jesiennie

Pod sercem, pod szum sosny płynny,  
Najpierwsze łaskotliwe poruszenie  
Dzieciny.

**Włodzimierz Słobodnik**

Spijam sok gęsty z cierpkich mroźnych gron,  
Spijam sok parnych październikowych rozkoszy,  
Spijam szeleszczący listopad,  
Spijam złotą oskomeę jesieni.  
Śmietaną ognistą spijam aż do zachłyśnięcia —  
Spijam gorycz miłowanych ust,  
Spijam macierzyński dziki trunek.  
Chrzęści mój smutek.

Słodzi się mój smak.

Biegnę do niej przez staje lat.  
Moja ręka gorąca i niespokojna  
Dotyka  
Jej chłodnych płomienistych piersi,  
A ona mnie bije po sercu  
I dumnie kibić błękitną odchyła,  
Arystokratka o spękanej korze,  
Bo nogi moje w modnych półbucikach  
Swego śladu bosego nie mogą odnaleźć.

*Jerzy Pleśniarowicz*

Porwał lasy w jasyr groźny wichër-chan,  
Złapał drzewa, ugiął je w pokorze,  
Z książąt-dębów zerwał rdzawe zorze,  
A policzki głógów szcerwienił do ran.

Bezwstydnie obnażył brzóz dziewczęcy stan  
I na ziemię osiki położył.  
W korze, abstrakcyjnym pierwowzorze,  
Żłobił mróz rysunki, wykonując plan.

Tarcz szczecinę jodłom poprzyglądał wiatr,  
Modrzewiom-mądralom mróz zieloność skradł.  
Z lęku sosny — żółtoskóre zbiry —

Jak w kinie gwizdały, wzburzone,  
Bo, zrzuciwszy ostatnie kimono,  
Krwawi dzika róża w harakiri.

*Florian Nieuważny*

Skoro Guliwer na wznak leżąc  
 Słyszał muzykę z planet dalekich,  
 I wy możecie słuchem wyczulonym  
 Słyszeć niemowlę z Antygalaktyki.  
 Nim nastał Adam, byliście radarem  
 Państwa zielonej demokracji.  
 Z wszystkich wybornych filozofii  
 W czasach mamucich już znałyście gandyzm,  
 Lecz że was krają na przeciętną miarę,  
 Można was złożyć w sprawne automaty...  
 Akumulatory protuberancji,  
 Szumliwe trusty młodziutkiego tlenu,  
 To chlorofilu koronni hetmani  
 Są braćmi poetów, gdy poezję tworzą.  
 W waszych zielonych liniach dłoni  
 Jest i zagadka ludzkiej tajemnicy —  
 Bezbronne serca i drzew, i poetów  
 Ledwie zapłoną, a już służą słońcu...

*Józef Lenart*





Tamten — kufel w gospodzie,  
a ten przekłębnik,  
ten — przebacz mi, Boże, złodziej —  
skrzydła?!”

Cóż było robić? Są rzeczy gorsze.  
Kyryło, by mieć choć luz lada jaki,  
Siekierę na brusku naostrzył  
I obciął skrzydła na pniaku.  
Lecz gdy sowy hukwały boleśnie  
I szczyliły gwiazdy z Kyryły,  
To, przesywając koszulę, we śnie  
Znów znad pleców skrzydła się wzbiły.  
Współzył przeto Kyryło z siekierą,  
Na skrzydłach się nawet wzbogacił —  
Skrzydłami ogroził teren,  
Skrzydłami chatę ogacił.  
Lecz te skrzydła rozkradli poeci,  
By ich Muza nie była bezskrzydła,  
Modlili się do nich esteci  
I śniło się niebo porąbanym skrzydłom.

(Temu — morgi i włości,  
innym — tony podłości,  
Jednym słońce i sławę,  
drugim — kieszeń dziurawą,  
Oby cię dola skręciła przebrzydła,  
A Kyryle — nie poszczęściło  
tak człowiekowi — skrzydła.)

*Florian Nieuważny*

Dziwo-dumkę ślę w dym na rozstaju,  
 Byleby smutek spłynął z wód,  
 Leże zrobię ci z raję,  
 Przytulę się na skraju,  
 Niechaj mnie zacałuje  
 Pocałunkami swoich ust.

Jasną myśl mu naraję,  
 Czarną rzucę na gaję,  
 Mam uciechę zieleńszą od łóz.  
 Leże zrobię ci z raję,  
 Przytulę się na skraju,  
 Niechaj mnie zacałuje  
 Pocałunkami swoich ust.

Najmilsza twoja  
 Z wszystkich najmłodsza,  
 A czułość twoja  
 Od wina jest słodsza.  
 Natoczże z moich ust  
 Pomyłonego trunku  
 I zmykaj, i zmykaj,  
 Bo nie widać ratunku —  
 A czułość moja  
 Od miodu jest słodsza,  
 Najmilsza twoja  
 Z wszystkich jest najmłodsza.  
 To nie wonnej mirry wiew  
 Ani mandragory,  
 To ja sercem krzyczę w samotności chory,  
 To twe imię, miły, jako nard pachnące,  
 Które ukochały dziewczeczki drżące,  
 Wonności płyną z wszystkich twoich dolin,  
 A twa uroda płomiennie boli —  
 Sławę słałam, wyścielałam,  
 Mała byłam — słodko spałam,

A gdy wypiękniałam, gdy wonności czuję,  
· W twoim aromacie  
    próżno spać próbuję...

*Tadeusz Nowak*

Boże, Boże, ile jęku w palcach,  
Ile krzyku w zsiniałych opuszkach.  
Na spalonych palcach, na błąkalcach,  
Na cierpliwcach tkliwych — na paluszkach.

Boże, ile błysków, ile tego drżenia  
W palcach-opiekunach, piastunach goryczy,  
W ogniu piekącego boleśnie sumienia,  
Któremu „ty” tylko mój cień ośmiela się krzyczeć.

Świecą — o świetliki, świty i poranki,  
Światy pocałunkiem umywane,  
Paluszki kochanki-katorżanki  
Na katorgę miłości-niemoty zesłane.

A cóż mają robić one, stujęzykie —  
Przecież nieme; błysną — w niebyt się pograżą...  
Więc przeklinam, ranię sinym krzykiem  
Godność palców i pałców rozwiążość!

Słoneczek pięcioro... Sen oczy zamaça...  
Lśnią nade mną paluszki-gwiazdeczki...  
Piołunowy, serce niewołący  
Miód wasz, miłe, gorzki i słoneczny...

*Florian Nieuważny*

## BALLADA TWÓRCZOŚCI

*Rzeźbiarce Teodozji Bryż*

Na serio zgłębiać świat — to ciężka twa powinność,  
Wyluszczać ziarno ze szkaradnej szaty plew,  
Więc dalej do tworzywa! W znój wielogodzinny,  
By w pasji pulsujący słyszeć gliny zew.

Wszak z gliny — ziemia ta, wszak cały człowiek —  
z gliny,  
Czyż ugniataniem jej wypełnić wszystkie dni?  
Niech w skurczach pręży się, niechętna kształtom innym,  
Glina z ognistych jarów, z najohydniejszych miejsc.

Zanurzaj pięści w gliny jadowitej duszy,  
Połam jej krzyże i wyprasuj hardy grzbiet,  
Przekaż ekstazę twą, zachłanność niech ją skruszy,  
Niech w mozartowski dym samotność wtargnie wnet.

Znaj sytą miarę zła i dobra, głód wesoły,  
Rozpoznaj prawdy kształt, choć tłum złorzeczy, klnie...  
Wszak tylko glina jest i pustka wciąż dookoła,  
Wszak tylko glina jest — człowieka jeszcze nie ma, nie...

*Bazyli Nazaruk*



Wysiadłem z autobusu. Piekielnie znużony,  
 Drzemał spokojnie nasz umorusany słoń.  
 Rozhuśtywał się hen chersoński wiatr stepowy,  
 Pieklił się pył zawzięty pałac pożółkłe ścierniska...  
 Ktoś

(wicher zakręty dróg chustką wytarł),

Gdzieś

(wicher perekotypole z korzeniami wydarł),  
 Hen w tatarszczyźnie, we śnie pogrążonej, hen tam,  
 Na oścież otworzył podwójne drzwi stajni  
 I wypuścił na nas dziesiątki zdziczałych koni —  
 Pędziły, cwałowały, galopowały,  
 Wśród słonych liszajów stuleci pozbyły się sytego ciała,  
 Jedwabnych siodeł, szaro-żółtych kości,  
 Zetlałe szkielety dobiegały ku nam  
 Szeleszczące hordą — perekotypolem,  
 Aż słoń-autobus parsknął z przerażenia — wicher!  
 Rozhuśtywał się hen chersoński wiatr stepowy,  
 Pieklił się pył zawzięty pałac pożółkłe ścierniska.  
 Cisnąłem więc kapeluszem w siwą gardziel zawiei,  
 Aby ktoś

(wicher słony dmie jak szalony),

Gdzieś

(wiatr pędzi wysoko, mknie nisko),  
 Hen w tatarszczyźnie, we śnie pogrążonej, hen tam,  
 Z oddalenia stuleci zaginionych w tupocie kopyt,  
 Raptownie rozwarł na oścież drzwi do sieni,  
 Dziwował się welurowemu ptakowi z jedwabną wstążką,  
 Wypytywał o niego skonfundowanego mułę — wicher!  
 Wicher galopował ze stulecia w stulecie...  
 Niebo było zielonawe od wiatrów, co suszą i parzą —  
 Pozieleniało.  
 Słońce na niebie, jak świeczka w zielonym lichtarzu,  
 Płomieniało.  
 Kto żyw, pochował się. Zniknął. Przycupnął.



Umrze, odzieje szarą fufajkę skowronka  
I poleci sobie na swój hektar nieba —  
Przez wiatr, przez wichur...

*Florian Nieuważny*

*Gen oczu piwnych  
dominuje nad genem niebieskich.*

I

Na swoich rękach ogień unoszę —  
 Moją rudowłosą zawieję,  
 Warkocz jej pyszny, lechcząco-gorzki  
 Brązowość oczu zawiewa.  
 Znów w zawierusze obłędu stoję,  
 Po raz setny wikłam się w sieci miłości  
 I pytam wargami najdroższą moją:  
 „Zgubo ma luba, skądżeś ty? Ktoś ty?”  
 Pytam ją ciągle, piwnooką i ruda,  
 Nowoczesną piękność wyniosłą,  
 Dociekliwie, z nadzieją, ułudą:  
 „Zdrado-zagłado, skądżeś ty? Ktoś ty?”  
 Pytaniem wargi najmilsze katuję —  
 Jej usta drżące pieką nieznośnie —  
 A ja się rajem napawam wśród ruin,  
 Pytam ją słowem, pytam na dotyk.  
 „Biologini, bogini, twój kod ciebie szarga...  
 Chromosomowe trapią kłopoty...”  
 Lecz milczą słone, gorące wargi,  
 Sceptyczne usta skuwa niemota:  
     „Śmierci ma, kto ty?”  
     Tylko dym znad brwi wieje  
     Z rudowłosej zawiei...

II

Kim jestem? Pytasz, kim jestem?  
 Niemcy z Tetijewa wycofywali się na Buhajówkę, mama  
 poszła przynieść poślada z polowego spichlerza, nabrała  
 pół worka, weszło trzech, potem jeszcze czterech, mama  
 uciekała po sypkim wzgórzu, poślada sypał się jej do bu-

tów, więc je zrzuciła i boso umykała przed nimi, lecz dopadli ją w kącie, zadarli kieckę i poczęli mnie tam, na pośladzie, w spichlerzu polowym za kołowrotem, tym co jest przykryty blachą z cerkwi. Wszyscy, aż siedmiu ich, byli rudowłosi, a mama — czarnulka piwnooka, a byli złąknieni zapachu kobiecego potu — tych siedmioro moich tatusiów nakrapianych bawarskimi piegami, a mama była czarnulką piwnooką; ale obejmij mnie, kochany mój, wycałuj ze mnie pamięć moją. Mama wywar z psiego ziela piła, aby mnie zrzucić, ciężkie toboły dźwigała nadaremnie, bo brzuch okrągłał ciągle i w oczach olbrzymiał — a ja zawzięta byłam, uparta, chciałam doczekać swojego tatuścia-ojca-ojczy. Powrócił, przyjechał bez jednej ręki z wojny, z Wrocławia, kopał buciorami po brzuchu swoją rozpustną kurwę — a ja skulona broniłam się, zastaniając się łokciami u mamy w łonie.

Kim jestem, wciąż mnie wypytujesz, kim?

Ochłonął wreszcie ojczym Hordij ze złości,

Opamiętał się, wytarł pot, mocno zbladł

I co rychlej matkę na wozie umościł —

Miałam się wtedy pojawić na świat.

Chlasnął lejcami po żebrach wychudzoną klacz,

„Wiol!” — wrzasnął, swój ból przekrzykując —

nie cudzy —

I ruszył gwałtownie, choć dusił go płacz,

Do szpitala przez osąd ludzi.

Kim jestem? Dopytujesz się wciąż, kim jestem? U nas takie wadoły na drogach, takie wyboje, że nijakie poduszki mamie nie pomogły — tylko patrzeć, a zacznie rodzić, tak tato w parę koni pędził do miasteczka — gdzie by tu jakąś akuszerkę wytrzasnąć, bodaj babkę położną, nic jeno ścierniskami wirowało przed mamy oczami. A oto już i nasyp kolejowy, tato oszalał — ustawił wóz w poprzek toru przed nadjeżdżającym z oddali pociągiem i batem go zatrzymał — opowiadała mama. Do dzisiaj nie jest zresztą pewna, czy zastanawiał się tato, co będzie potem, czy po prostu za jednym zamachem chciał skończyć ze swym sobaczym szczęściem, obejmij mnie, mój miły, wypij ze mnie pamięć moją i nie moją.

Zatrzymał się pociąg. Kłął maszynista w głos.  
Szli chrzestując pasami — szuter skrzypiał.  
Tato z wozu, stojąc na cały wzrost,  
„Baba rodzi” — do nich zachrypiał.  
Sypnął z wagonów żołnierski szkwał  
W bandażach, o kulach, czubaty i bez włosów,  
A każdy wściekłość w pięściach zaciśniętych miał,  
Lecz oto jednoreki żołnierz stoi na wozie —  
„Baba rodzi” — płacze i krzyczy bez tchu,  
Biczyskiem ocierając siwą łzę-sierotę.  
Zamarł wstrząśnięty zdemobilizowany tłum,  
Baba na wozie w mękach się miota.  
Koniec udreki. Wyskoczył lekarz z żołnierskich ław,  
W białych fartuchach sanitariusze bieją.  
Najzwyczajniejsza spośród życiowych spraw —  
Rechocą i płaczą byli frontowi żołnierze.  
„Baba rodzi” — wojaćwa mrowie  
Zachłystuje się przyrodą głośno.  
A konie chrupią spokojnie owies  
Z łagodną pobłażliwością.

Kim jestem? Wypytujesz mnie, kim jestem? A więc kiedy przyszedłam na świat, tatkę Hordija frontowcy dalejże na ręce i rzucać w górę, i łowić znowu na ręce, podrzucali i łowili, gratulowali, a tato płakał, wargi zagryzał i śmiał się z rozpacz, a mamę ogarnęła błogość, choć nadal była napięta i niespokojna, a konie szarpnęły przerażone rykiem parowozu, i kiedy zniknął ten pociąg za horyzontem i pomachał mi białą chusteczką dymu — już wtedy, od dnia narodzin, wiedziałam, że ten pociąg to mój ojciec chrzestny. A ojczym Hordij czasami kupował mi niebieskie lizaki, a niekiedy tłukł mnie po pijanemu pięściami, aż pewnego razu uciekłam golusieńka do technikum. Kim jestem? Pytasz, kim jestem? Nie pytaj — obejmij mnie...

### III

A kiedy zaśniesz na ręku, szczęśliwa,  
Wzdrygam się z twego łabędziego pienia:

Łabędzią łza po licu odpływa  
W czarny smutek swego korzenia.  
Rudzieje ruda twa głowa,  
Łabędzieją niezrozumiałe słowa,  
Przez zakochany ciepły śmiech  
Łabędzieje uśpiony grzech,  
Uwolniony od zwidów złych.  
Łabędzie ma prawo miłować  
I łabędzić łagodne swe słowa:  
„Ich liebe dich! Ich liebe dich!” —  
Łabędziątko...

*Florian Nieuważny*

*Zaginęty konie: ogier kary,  
gwiazdka na łbie, wysoki, 6 lat;  
klacz gniada — gwiazdka na łbie,  
5 lat. Ktokolwiek wędziałby o ich  
miejscu pobytu, proszony jest o  
powiadomienie zarządu Wielkiego  
Murtyńskiego Sowchozu.  
(Z ogłoszenia w gazecie rejonowej  
z obwodu krasnojarskiego)*

I

Zakochał się kary koń bez pamięci  
W gniadej niedotykalskiej klaczy  
I rzenie namiętne bez reszty poświęcił  
Za grzywę smolistą, co ją wiatr skudłaczył.  
Zakochał się do dna, do jęku w kopytach,  
Wbrew genealogii maści.  
W noc wroną żar buchającymi wargami chwycił,  
Dymił miękkimi wargami w namiętnej napaści.  
Wyrzał. Wywołał. Wyczarował odzew ogniem przeżyć.  
Umierał stojąc dęba. Płomiennie hołubił i dziewosłębił.  
Czadem ściętych do omdlenia jeżyn  
Pot jej mu pachniał w jej pachach, na kłębach.  
W lęku rozkosznym gasiły pragnienie,  
Rozerwały pęta, zdeptały nakazy.  
Od szału modrzew zapłonął zielenią  
W niemych erotycznym pożarze.  
Wicher ekstazy boki im studził,  
Praojców wicher — ciężki w swym bezwstydzie.  
Zadudniła ucieczka twardym kopytem po grudzie,  
Wolność trąbiła w surmy bezdomności, z konwenansów  
szydząc.

I ruszyły w noc czarną, w nieznane,  
Grzywa przy grzywie, w tkliwej pogoni,  
Oszalałe rumaki, koniki zakochane,  
Kochankowie moi bezbronni.  
Cwałowały zgodnie mknąc przez tajgę siwą,



Po szynach, po czarnych podkładach leciały  
Przez spiekę palącą, przez zamieć straszliwą,  
Dusza przy duszy i przy ciele ciało.  
Czyhało na nie całe koniowodów plemię,  
Czekały lejce, postronki, rzemyki,  
I tylko księżyc w osłupieniu nie miał,  
Zgubiły się konie, nie ma ich i nie ma —  
Pokochały się moje miękkowargie koniki...

## II

Dwie rogate bigotki połykały zakochanych. Każda miała w żołądku po stonaście zakochanych — a para koni tuliła się do umorusanego autobusu i kochała się na całego: on miał gwiazdkę na łbie i ona miała gwiazdkę, ale raptem jedna bigotka pokazała drugiej ogłoszenie w gazecie i konie uciekły, tylko gwiazdki zamigotały! „Czekajcie, już my was!” — wrzasnęły dwie uczone bigotki i wystawiły na tę parę zakochanych koni całe bataliony uznanych oficjalnie przez prawo małżeńskich łóżek zatwierdzonych pieczęcią urzędową, otoczyły ją, parę moich bezbronnych kochanków, i rozpięłyby — karego ogiera na dwuosobowym łożu ozdobionym niklowanymi kulami, a gniadą klacz — na łóżeczku z różanego drzewa, a później zadowolone z siebie bigotki poszłyby łupać w durnia talią kart z nagimi babiszonami, ale nasze koniki uciekły — tylko gwiazdki na łbach zamigotały! A jeszcze widziano parę koni, też z gwiazdkami, w kolejce do opery na balet Prokofiewa *Romeo i Julia*, no i jakaś bigotka z oburzeniem opowiadała innej, że koń deklamował klaczy z pamięci *Historię kawalera Des Grieux i Manon Lescaut* opata Prévosta — no i należałoby wydać dekret zabraniający karemu koniowi i gniadej klaczy czytać o miłości, wówczas nie dowiedziałyby się, co znaczy kochanie i miłość. „Mniej byłoby rozpusty” — twierdzili kategorycznie rycerze dwuosobowych małżeńskich łóż. Dwie światłe bigotki stały, chwyciły zakochanych i łapczywie ich połykały. Każda miała ich już w żołądku po stonaście, a ja tak oto odezwałem się do owych uczonych bigotek: „Zakochane konie uciekły do mojej ballady,

gdzie każda strofa owsem pachnie, do mojej wolnej i przestronnej ballady — bez najcichszego nawet potrzaskiwania bata. Kto zaś doniesie na konie do Wielkiego Murtyńskiego Sowchozu, to niech mu paluchy pousychają!”

„A my byśmy nawet protezami donos nabazgrały!” — odkrzyknęły bigotki, aż konie nastroszyły uszy, moje miękkowargie koniki...

*Florian Nieuważny*

## BALLADA O ŻŁOTEJ CEBULI

*Zwyczajna cebula —  
Gwiazda nędzarzy.*

PABLO NERUDA

Jest złotolicą boginią sprzedajnych targowisk —  
Kołysze się jak wahadło w pętach wianuszka,  
Obejmując za szyję garbatą ciotkę Horpynę.  
Jest nimfą zaplecioną w swych sióstr uwiedle warkocze,  
Obmacaną milionem pożądliwych spojrzeń.  
Czy pragnie się pozbyć swej złotawej cnoty?!  
Jest maciupką kopułą podziemnych cerkiewek —  
Dygoce w trwodze o swą złotą, pełną wiary duszę  
W obliczu tępej pazerności pogańskiego noża!  
Zarumień się ze wstydu płacąc śmieciem miedziaków za  
złoto!

Już czuje, jak złote jej piersi omdlewają z lęku  
W przecuciu płomiennych uścisków harcownika Ognia.  
Jest królową piękności wiejskich porannych bazarów,  
Przycupnięta siedzi w areszcie żołnierskiej kieszeni,  
Ona — niewinna złota wróżka, więźniarka okrutnego  
Apetytu.

To siostra rodzona czerstwego żytniego Chleba  
I siostra bliźniaczka Czosnku w żupanie białosrebrnym,  
Jest złotym granatem ciśniętym w paszczę studenckiego  
głodu,

Zawziętą rywalką rozgotowanego ciamajdy Ziemniaka  
I kuchennej skromnisi Soli wierną przyjaciółką,  
Małą Joanną D'Arc na wszystkie angielskie mikroby,  
Jest czułą Laurą jakiegoś perkatego Petra Petrarki  
Z kijowskiego Podolu, ze szkoły technicznej,  
W cieplarni jęgo drewnianego kuferka schowaną.  
A może jest zapomnianym, wzgardzonym Kopciuszkim,  
Co bezimiennie zginie w żołądku jakiegoś kacyka,  
Ona — złota-złociusieńka. Nie wie, co ją czeka,  
Czy sązione jej opaść odświętnymi białymi nimbami  
Na nieodgadnioną kromki pszennego chleba tajemnicę,

Czy może ma rozkręcić w hula-hoop przed krwawym  
Szaszłykiem

Niebieskawe soczyste obręcze-pierścienie  
Wokół srebrnego ciała Szampura, gruzińskiego księcia...  
Zaczyna się złocista agonia, jej strip-tease przedśmiertny:  
Zdejmuje z siebie swą złocistą szubkę,  
Zdejmuje złocisty swój błyszczący sweter,  
Zdejmuje złocistą powiewną sukienkę,  
Zdejmuje złociusieńką przejrzystą koszulkę  
I naga, białutka łka nad pogwałconą cnotą,  
Złota Cebulka z maminego warzywnika,  
Złota westalka ze Świątyni Tajemnicy Bytu,  
W złocistą piąsteczkę lęku zaciśnięta...

*Florian Nieuważny*

Oj, przemiłe jest, przecudne dziewczynisko, oj.  
 Co sobota wszak przyjeżdża aż z miasteczka  
 Do babusi, babuleńki, babusieńki, oj.  
 Ściąga ze stóp infuzorie-pantofelki  
 I do kąta ciska te lakierki-pantofelki,  
 I przywdziewa kapocinę połataną, moiściewy,  
 U babuni, u swej siwiuteńkiej, oj.  
 Wzuwa stare buciska-człapaki,  
 Babusine buty-buciorzyska.  
 Naprzynosi wody pełniuteńką balię —  
 Jeszcze wiadro, jeszcze wiadro, jeszcze jedno —  
 I chlust wodą do baniaków, garów i saganów,  
 Że aż lubczyk słodko omdleje w garnuszkach,  
 Aż się zrobi słabo babusinej chacie, ojejku,  
 Chacie, chatusi, chatynce,  
 Chatusieńce. Chacie-Strzechuli, oj.  
 — Powróż mi, babuniu moja, ojej,  
 Babusieńko, babuleńko, babusienieczko.  
 Oj, bo parzy, oj, babusiu, ojejej.  
 Dziewczęteczko, dziewczynina, bidulina,  
 Chlupocze się i pluska w drewnianym korytku,  
 A babunia tup, tup, tup i zabiega, ojejej,  
 A babula się uwija, krząta się, że jej,  
 Z pogrzebaczem koło garów i saganów...  
 Wnusia, wnuczka, uczennica, świat uczony,  
 Śpi u babci na utkanej ze lnu płachcie  
 Pod kożuchem, kożuszyskiem, pod kosmatym.  
 Na leżance we śnie cmoka, że jejej.  
 (Wypada jej dom urzędowy,  
 Czeka tam walet dzwonekowi,  
 Asa żołądnego wezmę,  
 Niechbym raczej sama szeszła!...)  
 A dziewczęteczko, dziewczynisko w słodkim śnie  
 Do kożucha, kożuszeńka ufnie lgnie,  
 A babusia, babusieńka, bab-babula,

Do dziewczęcia, do dziewczątka się przytula —  
Boż sierota samiuteńka, boż sierotka,  
Babamama, babatatko, babazłotko...

*Florian Nieuważny*



Pierwszy raz jechałem stepem, pierwszy raz jechałem białym, hej-hej, w środku nocy, hej-hej, w nocy czarnej — pierwszy raz jechałem do sąsiedniej wsi, do kina. A furman z przodu siedział, nogi obok mu zwisały, a operator pełną gębą ziewał; na jednego konia, tego białego, wołano Charlie, na drugiego — wronego, przy dyszlu — Chaplin... „Wio, Charlie, Chaplin, dalejże, wio! A ino!...” Trzy lśniące, słone gwiazdy spozierały na me dziecinne czoło, piołun, zaspany za dnia, na noc przecierał oczy, a graniczne stulecia w taki się suwerenny supeł wiązały, że strach było wypuścić z oddechem tę chwilę, niby samo-samiuśkie życie. Ciężki mój step bezbrzeżny brał mnie, oszołomionego malca, tak łapczywie w swoje siwe dłonie: „Wio, Charlie, Chaplin, dalejże, wio! A ino!...” — i po raz pierwszy tak dziwnie zaglądał w oczy...

Cud na mnie dziwny spłynął,  
 Gdy jeszcze kino krążyło po siołach,  
 Jeżdżąc na wprost przez oziminę,  
 Zuchwale ruń miętoszając wesołą.  
 Zadziwiał mnie, dolo, i sama do cudu się  
przyznaj.  
 „Wio, Charlie, Chaplin, dalejże, wio! A ino!...”  
 Była ruń z wesołą siwizną  
 I wszystko — jak siwy czarodziej kina.

Jak upadła pierwsza słona gwiazda na drogę, zobaczyłem szczupłą postać w ciemnym cylindrze, co dreptała z laseczką przed nami. Dopiero później dostrzegłem ją wyraźnie na białej ścianie obory, gdzie z dojarkami oglądałem *Gorączkę złota*. „Widziałem go przecież — Chaplina, widziałem go na drodze, jak przebierał drobnymi kroczkami przed nami!” — krzyczałem do ucha woźnicy. „Ten mały ma fantazję — rzucił niezrozumiałym słowem operator — jak wyrośnie, będzie robił kino”. — „Nie — ujął się za mną staruszek, kadrowy woźnica — będzie miał z końmi do czynienia”. I ziściło się proroctwo woźnicy — skrzy-



dlate rumaki tupocą pod mymi oknami, aż czasem się zapomina i wołam: „Wio, Charlie, Chaplin, dalejże, wio! A ino!...”

*Florian Nieuważny*

W warzywniku przy gliniance gwarno.

Wiatr pietruszkę połaskotał,  
 A ta dziwi się z papryką, czemu roześlony  
 Zaczął hulać po ogórkach —  
 Ten śmieszny wiatr w zielonych spodenkach:  
 Z kładki skacze w toń glinianki,  
 Po czym majtki wyzymając suszy się na słońcu  
 (Za krzaczkiem, by go nikt nie ujrzał)  
 I słucha, słucha mokrym uchem.

W warzywniku przy gliniance gwarno.

Ogórki się wśród kłaczy wylegują  
 Z maleństwami korniszonków obok, w kąpielówkach,  
 Czarnych, brunatnych, na boku, na wznak.  
 Żółciak sparciały czyta „Kijów Wieczorny”,  
 Ten znów leży na plecach, kurząc papierosa,  
 A ów liściem się nakrył jak płachtą gazety —  
 Wszyscy się boją chimer-kur  
 Z ostrymi czerwonymi dziobami.

W warzywniku przy gliniance gwarno.

Ten zbytnik-wiatr lot nurkowy zaczął,  
 Majtnął — i strącił trzy krągłe pomidory.  
 Potoczył je między konopie i len,  
 Aż słonecznik szyją giętką stanął dęba,  
 Czerwoniaki, co opadły, poturlały na grządkę,  
 Gdzie ogórki zielone plażują leniwie  
 Aż do widomych odleżyn na bokach.

W warzywniku przy gliniance gwarno.

Nikt nadziwić się nie może — no bo cóż to:  
 Ni zielone, ni podłużne...  
 Cóż, wszystko bywa na tym świecie:

Nawet ogórki — za granicą — krągłe.  
Zagłębili się w zielonej erudycji,  
A wiatr parszcząc kartkuje im  
Encyklopedię zielonych liści.

W warzywniku przy gliniance gwarno.

Parciejący ogóras wszystko już zmiarkował,  
Spod naci pietruszki dobył okulary.  
W życiu swym długim wiele widział dziwów,  
Piersiaste kawony z krągłymi zadkami! —  
Gdzie tam do nich zwykłemu pomidorowi!  
Jeszcze pamięta, jak w młodości bujnej  
Raz nawet przespał u prawdziwej dyni.

W warzywniku przy gliniance gwarno.

Starzec rozesał pośród łądy słowa:  
„Spójrzcie no na te czerwobokie,  
Co to ze wstydu czerwienieją w słońcu.  
Im nie jest droga nasza grządka cicha.  
Ich już nie miną dzioby chimer-kur,  
My tu leżymy w cieniu pod listowiem  
I w łasce boskiej czekamy kiszienia,  
Cierpliwi aż po żółknienie sparciałe”.

Wiatr wylazł z glinianki na kładkę,  
Majteczki zdjąwszy, pamięć o nich stracił  
I stoi — nagi — z rozdziawioną gębą,  
Wysłuchany w mowę ogórkowej plaży.

W warzywniku przy gliniance gwarno.

**Józef Lenart**

## BALLADA O ZAWINIĄTKACH

Świeci w mojej pamięci babka Korupczycha,  
Świecą jej ręce do dnia dzisiejszego.  
Ciemna była babka Korupczycha, niepiśmienna,  
Jej ręce świecą do dnia dzisiejszego.  
Wypiekała babka Korupczycha kołaczce z kaliną,  
Bez niej do dzisiaj cały świat mi mroczny.  
A kto był głodny — przychodził do Korupczychy,  
Ona każdemu dawała zawiniątko.  
Kto cierpiał chłód — grzał się u Korupczychy  
I wynosił od niej zawiniątko pod pazuchą.  
Kto niegodziwcem był, ten niegodziwcem zostawał,  
Ona każdemu dawała zawiniątko.  
Jak mi się wyśnią sny najczarniejsze —  
Przyjdzie Korupczycha, zawiniątko rozwiąże,  
A jak mi się wyśnią sny słodsze niż kalina,  
Przyjdzie Korupczycha, w tobołeczek je zwiąże.  
O, jakże się smuci Korupczycha w mogile,  
Ręce jej złożyli, tobołka związać nie może.  
Nie wierzę w te stoły z baśni pełne jądła,  
Wierzę w zawiniątka babki Korupczychy.  
Sam je widziałem, rozwiązywałem  
I na wieki w pamięci zawiązywałem.  
A Korupczycha zawiązywała białą chustkę pod brodą,  
Lecz nigdy węzełka pod szyją nie zawiązywała.  
A pochowali ją w chustce pożyczonej,  
Bo ze swoich zawiniątka wiązała...

*Tadeusz Nowak*

## BALLADA O DWÓCH ŁABĘDZIACH

Nie wiem, czym ja Leda, może jestem Łada?  
Aż tu nagle biały łabędź z nieba na mnie spada.

Spada wciąż i spada bez ładu i składu,  
Oj, na Ledę w białej pianie, oj, na białą Ładę.

W białej pianie-m Leda, oj, czy panna Łada?  
Aż tu na mnie czarny łabędź z mrocznych chmurzysk  
spada.

Spada niby kamień, lotu wstrzymać nie da,  
Oj, na Ładę w białej pianie, oj, na pannę Ledę.

Białopierśna Leda, śniegopierśna Łada,  
Czy białemu, czy czarnemu — komu będę rada?!

*Florian Nieuważny*

## BALLADA O OTWARTYCH DZIECIĘCYCH OCZACH

Chcę patrzeć na świat szeroko otwartymi oczami.  
Jestem jeszcze takie maleńkie i umiem tylko widzieć,  
Pragnę widzieć, że mama jest wesołą mamą.  
Pragnę widzieć słońce w złotym kapelusiku.  
Pragnę widzieć niebo w niebieskiej chusteczce,  
Jeszcze nie wiem, jaki ma zapach Szlachetność,  
Jeszcze nie wiem, jaka jest w smaku Podłość,  
Jakiego koloru Zazdrość, jaki ma rozmiar Niepokój,  
Ile jest soli w Smutku, jak niezgłębiona jest Miłość,  
Jaką jest błękitnooka Szczerłość i drżąca Podstępność,  
Jeszcze wszystko zdążę rozłożyć na osobnych półeczkach.  
Ale przecież, dopóki nie dorosnę, zróbcie coś na świecie,  
Aby nigdy nie trzeba było zamykać oczu ze Strachu,  
Nie mylcie na swą dorosłą modłę proporcji.  
Orły spoglądają na słońce otwartymi oczami.  
Dzieci spoglądają na świat otwartymi oczami.

*Florian Nieuważny*

Z mego rodu — setki dróg.  
Sto stuleci za mym rodem.  
Wydeptany stary próg  
Starej babie miast nagrody.

Siwa ścieżka setką dróg  
Od chałupy się oddala.  
Wprzągł sto wichrów wiek, by mógł  
Siwą chatę zmiażdżyć, zwalić.

Sto niedoli — chłód i głód  
Suszył urodziwość rodu.  
Lecz nie wyschnie nigdy ród  
W niepogodę i w pogodę.

Tupie, drepce wnuczek-skrzat,  
Stawiaj, wnusiu, krocзки krzepcej.  
Ścieżyn sto umyka w świat.  
On — sto pierwszą nam wydepce...

Rodzie drogi! Próżno wróg  
Niszczył ród żyłasty, młody —  
Wichrów sto czeka u nóg  
Mego rodu i narodu...

*Florian Nieuważny*

**CO TO TAKIEGO — TRAWA?**  
(Na motywach poezji Whitmana)

Zapytał mnie syn, ach, zapytał mnie syn białowłosey,  
Zapytał, zatchnąwszy się, zapytał mnie:

— Trawa — a cóż to takiego? — zapytał mnie syn.

I przyniósł mi z łąki — porcięta zielone —

Caluteńkie naręcze, i rzucił je na podłogę,

Na lebiodę wonną błyskającą różowymi kolankami,

I na obrus rzucił, i usiadł koło mnie na ławce.

I zapomniał zielne słowo, tylko oczami jeszcze spytał:

— Trawa — a cóż to takiego? — zapytał mnie syn oczami

I przytulił się do mnie, przygarnął i ramionkiem mnie  
spytał.

Cóż mam mu odpowiedzieć? Wiem mniej od mego syna  
I więcej niż syn nie wiem, co to takiego — trawa...

Może to mój sztandar, zieleńszy niż jedwab

Tej wielkiej nadziei, w którą wicher dmie,

Sparciały od potu, o który nikt nie dba,

Choć płonie przez wieki i płonie przez dzień.

Może to od Boga chusteczka zielona,

Co spada przez rakiety planetarny chłód,

Może to ziemskiego zegara ramiona,

Śmierć spowiadająca z wytopionych rud.

To ptaszek słoneczny i skrzydła zielone,

Hieroglif wiodący najtajniej swój ród...

O, gdyby go wywieść z kontekstu na stronę,

Już byśmy wiedzieli, jak on się tam wplótł!

To ziele cmentarne, mistyczne, kurczliwe,

Przeciw biesom strzała chlorofilu, łuk,

A czasem strzyżone do skóry, lecz żywe,

Tępą kosą koszone, gdzie w krzyżach śpi Bóg...

— Chwała śmierci — życia służebnicy,

Czarnorękiej, pracującej wiecznie

I trawę siejącej! Ludzki los się ćwiczy

W hulankach, w postach chodzących statecznie!



Jak się zwie nieśmiertelność? Trawa!  
Jak się odzywa trawa? Echem  
Człowieczego cudu, który sprawia,  
Że jest wszystko trawiastym oddechem.

Krążący soku, dziwaku siwy,  
Mknący w tunelach wiecznych trawy  
Od głowy — to płacz historii żywy —  
Do ameby — to z głowy sprawy.

To ty nam znowu tak mydlisz oczy,  
Że ginie nawet trawy pęczek...  
Lecz trawa znowu rozmowę toczy,  
W ludzkich umysłach rozmowę toczy  
O tym, że z głowy — nowe poczęcie...

**Tadeusz Nowak**

Napić się nieba, wiatrem wytrzeć usta,  
Upić się stepem, słońcem się zachłysnąć,  
Ofelię pól — słomiane źdźbło zziębnięte —  
Wydrzeć wiatrowi, zimnemu włóczędzie.  
O, jakaż marna cierpiętnicza dola!  
Hej, wy tam! Ciszej, bo jeszcze spłoszycie  
Tę nić pajęczą — chłodną kruchą słomkę,  
Co szuka ciepła koło mego serca.

*Waldemar Gajewski*

Kiedy świerszcz trafił nad morze, aż oniemiał z wrażenia: morze było takie bezkresne i bliskie. Świerszcz pochuchał na swój smyczek, rozruszał skostniałe palce i przysposobił się do gry. Ale zaledwie wiatr oderwał dłoń od struny, a już deka skrzypiec pokryła się solą.

— Trzeba będzie zamówić nowe u Stradivariususa — pomyślał — i wylał morską wodę ze swego stepowego chobota.

Morze spragnione było wesołych igraszek. Nigdy nie słyszało skrzypiec Stradivariususa, przeto zawczasu uwięziło wszystkie dziewiąte fale, pozamykało wszystkie krwiożercze cyklony, które mogłyby mu w tym przeszkodzić. Tylko potężne serce morza dudniło głucho w głębinach, i świerszcza naraz obleciał strach, niczym Cygana w kołchozie. Melodia była smętna i przynosiła suchy szelest oraz zapach cmentarnego zielska, jak wszystkie melodie świerszczy.

Morze oczekiwało na to, co ultrawesołe, w arcymajorze, ale najbardziej karkołomne próby świerszcza kończyły się minorowo, tak jakby każda morska fala wzbierała, oszałamiając akordami żałobnego marsza Wagnera, to znów zanosila się szlochom, roniąc rzewne łzy w błękitną chustkę morskiej toni. A morze nawet wyciszyło bicie swego serca, żeby nie było dysonansu między jego głuchym łomotem a grą świerszcza.

Świerszcz zaś, żeby się rozweselić, polechtał się pod pachami, łyknął przygarść różowych pigulek firmy „Homeryczny Śmiech”, ale jego smyczek nadal płynął zachłystując się gorączkowo falami requiem. Morze przeto słusznie zapalało oburzeniem, a świerszczowi zrobiło się nieswojo. Przeciągnął się zatem i wedle zwyczaju swych przodków podrapał się w potylicę.

Zgodnie postanowiono odprawić świerszcza w głąb stepu, do któregoś z zakładów dla pomyleńców, morze zaś wysłało kompetentną komisję dla zbadania dziwnych przyczyn tragedii stepowego skrzypka.

Świerszcz leżał na wykrochmalonych prześcieradłach, pociągał sok pomidorowy i oddawał się rozpuście z rudymi sanitariuszkami. Czasem we śnie widział morze, wiatry uwiązane na postronkach, zamknięte dziewiąte fale — on zaś je odwiązywał, otwierał wszystkie spusty, a jego morze huczało i kłębiło się. Nieszczęśnik zaś, bojaźliwie rozglądając się po kątach, przeklinał w duchu swoją naturę anarchisty i znów lgnął do grzesznego łona rudej sanitariuszki.

Kompetentna komisja rozłożyła bezradnie ręce:

— Prawdopodobnie jest to choroba dziedziczna. Wszystkie objawy wskazywałyby na istnienie mało zbadanego kompleksu intuitywnego — głęboko ukrytego kompleksu wolności, co ujawniają świerszcze mimo woli. Wszelako tajemnica ta dostępna jest jedynie niezwywym.

Morze nie słuchało: jego ciałem wstrząsała szlachetna czkawka.

*Waldemar Gajewski*

**DWADZIEŚCIA OSIEM**  
(Wariacje na temat Walta Whitmana)

Dwudziestu ośmiu młodych mężczyzn schodzi w morze  
Dwudziestu białych i ośmiu Murzynów  
Dwudziestu ośmiu mężczyzn najlepszych przyjaciół  
Dwadzieścia osiem lat życia kobiety samotnych  
Dwadzieścia lat życia dziewczyny w czekaniu  
Dwadzieścia osiem lat życia samotnych

Ma willę u stóp białej skały  
Packarda ma w żółtym całunie  
I na posłaniu śnieżnobiałym  
Pies kruczoczarny czuwa u niej.

Przez okno z policzkami w dłoniach  
Tamta kobieta patrzy na nich  
Biali mężczyźni są na koniach  
Na wronych koniach rozigranych

Ośmiu Murzynów jest na białych  
Czernieje ośmiu na bachmatach  
I po kamieniach osiwiiałych  
Cwałują jej lecące lata

Zagryza suchą biel firanek  
I gorycz ustom się udziela  
A pies warczeniem wita ranek  
Jak gdyby echem gróźb Otella

I kiedy weszły do morza czarne konie i białe konie  
(Dokąd cię to ponosi, dziewucho!) i gdy młodzi  
Mężczyźni nadzy-nagusieńcy (Dokąd to, niewiasto!)  
Zabłysnęli młodymi ciałami (Hej, hej, którądy to!)  
I tak przeszła tam brzegiem dwudziesta dziewiąta z tańcami  
i śmiechem  
Choć nie ruszyła się z miejsca stała w swojej willi  
I tak przeszła tam brzegiem dwudziesta dziewiąta  
Nie widzieli jej lecz ona widziała ich i kochała

Lśniły brody ściekała woda z mężczyzn z ich kędziorów  
Sączyły się strumyczki wgłębieniami ciała  
Snuła się po ciele niewidzialna ręka  
I zniżyła się drżąca od skroni do żeber

Powystawiali smagłe brzuchy lędźwie plecy  
(Ktoś nad nimi zamiera, kto taki, kto taki?)  
I rozbija się o nich ciepły dech kobiety  
A że to słońce słońce mylą się chłopaki

A jak tylko od brzegu odbili się cwałem  
Wtedy wsiadła do swego packarda packarda  
I zaczęła wyczyniać harce oszalała  
Wirażami zrywami do czarta do czarta

Kierownicę kąsała zębami zębami  
Nosiło ją z kamienia na kamień nosiło  
I dobrodusznie (Dojdź tu do ładu z babami!)  
Czarny pies posapywał na siedzeniu z tyłu...

**Jerzy Litwińtuk**

a)

Wyrwany korzeń dębu — rdzeniem w niebo,  
Poplątany z mięsem świeżego czarnoziemiu,  
Dumny pokurcz z grudkami czarnego gwałtu,  
Wywołujący lęk w słońcu wyrwany korzeń.

I

Przejrzysta struna słomy,  
Złote ździebełko oddania,  
Po którym ścieka słońce —  
Słońcociąg, naczynko krwionośne słomy...

b)

Czarna ścieżka tuszu czarnego  
Na kredowym cichym arkuszu,  
Szeroka, władcza, aż czarna,  
W której zatonała tęcza.

I

Delikatnie-błękitna ścieżynka,  
Ścieżyneczka, nawpółnaczynko krwionośne nieba,  
Przeprowadzone grafionem  
Do owej czarnej ścieżki...

c)

Ja — zakatowany twym słońcem,  
umordowany, najedzony do syta bólem szczęścia,  
pojąłem, że oddać teraz — to znaczy umrzeć.

I

Ty — najedzona suchym chlebem  
Mojego okrucieństwa, mym przerażeniem napojona,  
Jesteś wszelako mądrzejsza o kroplę kobiecości,  
Bo ciągle oddawać — to znaczy żyć.

Przepadło, przemknęło, przeleciało,  
Przeminęło, sczezło, spłynęło,  
Tylko swądem dymiło i tlało,  
Tylko popieliskiem kwitnęło.

Przefrunęło i snem się odśniło,  
Odmarzyło się — gdzieś poczęte,  
Runęło i hen się potoczyło,  
Słonym szlochaniem zachłyśnięte...

*Florian Nieuważny*







Tutaj koloratura białego leghorna — to krzekorzenie Bia-  
huchy, co się zaleca do swego galanta, a nade wszystko —  
Bach, organowy cesarz z głośnika nad oborą, odprawia mi-  
steria, tajemnice egipskie, i biała peruka wyziera zza pi-  
ramidy Cheopsa, ojciec w kacabai na swojej pryczy siedzi  
zgarbiony i matka na ławce, prześwidrowanej kulami kor-  
ników, słońce-igłę na ręcznik nawleka, taki wiatr na dwor-  
rze, taka wokół cisza, kocina drzemie, i jeżeli czujesz ser-  
ce — to mocno trzymaj tego ptaka, bo w niewiadome  
poleci i zginie...

Już fale strof w łoscocie  
Biją o piersi brzegów,  
Już lawa bulgoce młoda  
Śpiewem czarnym jak smoła...  
Już ojciec, jak Bóg Ojciec,  
Spoczywa dnia siódmego,  
A matka, jak matka-przyroda,  
Nie odpoczywa zgoła.  
I ja tam w locie zawisnę,  
Usiedę na ciszy zrębie  
I zacznę chodzić po domu,  
Puściwszy mamine ręce,  
Raz czuję taką mieliznę,  
To znowu taką głębię,  
Że wciąż niesyty ogromu,  
Śmiechem serdecznym dźwięczę...  
Jakim obolem im spłcę  
Czarne noce jesieni?  
I dusza mi wzbiera płaczem  
Do samiuteńkich źrenic...

*Jerzy Litwintuk*





22 czerwca 1966 roku o godzinie piątej wieczorem  
Przejeżdżaliśmy nad Babim Jarem  
Wieczne słońce gasło w chmurze sennej  
Jacyś mężczyźni w krzakach pili piwo  
Obsysając wędzoną rybę  
Opodal leżał Murzyn z głową opartą  
O kolana dorodnej blondynki  
Siwa baba chodziła i wypytywała  
Czy nie mają krzyżyków na sprzedaż  
Cherlawe klony mdlały od spiekoty  
I syn mój zasnął na moich kolanach  
Śnił mu się pewno koń wśród bujnej trawy  
Kopyta tłukły gdzieś o bitą ziemię  
I łopatami ktoś sypał na mnie niebo  
Twarde z korzeniami chmur z kamieniem słońca  
A metalowe kobry jarzeniówek  
W gęstwinie kryły swoje długie szyje  
I otuliłem instynktownie syna  
22 czerwca 1966 roku o godzinie piątej wieczorem  
Kiedy jechaliśmy nad Babim Jarem

*Jerzy Pleśniarowicz*

KIJÓW Z OCZAMI SŁOŃCA I MIESIĄCA  
(Wiosenne zakłęcie)

Kijowie, dziwie mój z oczami słońca i miesiąca!  
Zielony klekot twój łoपोce, tęcza w każdym oknie się  
pali,  
Ziołem najmniejszy spłacheć tu dyszy, zieleń chmury  
odpędza od słońca.  
Zielonoskrzydły szal twój niebo na odlew wali.

Bzem koło Wydubiczów — zwariowaną kolorów orkiestrą —  
Spopielają się w niej doszczętnie mocne biele, fiolety,  
purpury,  
Każdy liść aż tryska i każdy pcha się do nieba na sjęstę,  
Takie tu wszystko strzeliste, mocarne i takie słońce żar  
leje z góry!

Rosa tu jędrna, gęsta, tak ciężka, że kropla roztrzaska  
głowę,  
Życie nabite siłą — komputery, skutery, cała techniki  
sfera...  
Zazieraj w przyszłość oczami słońca i miesiąca, Kijowie,  
Mój arsenalny, sofijny mój, komputerowy teraz!

Buchają flagi — źródliska ognia, szaleją, zapalają nieba  
koronę.  
Nad zieleń wyskakują, jak szybkobiegacze pędzą w błękity,  
Drzewa mkną jak ogiery, liśćmi błyszczą im grzbiety  
spocone,  
A kasztan — zielony lichtarz stuświecowy — rusza na  
wsze strony z kopyta.

Aż świecek gasną od tego szalu! Świecie mój bujny,  
świecie rozświecony!  
Niechaj wam szczodre, upojne lato narodzi wiosna —  
dziewczyna urodziwa.

Napinam żagiel nieba — znojne i krzepkie lato, Kijowie,  
nam sądzone,  
Napinaj każde niebo dla szczęścia, dla dostatku i uciech  
godziwych!

Kijowie, cudzie mój z oczami słońca i miesiąca,  
Koń mój skrzydlaty wprężony jest do gardła twoich kopuł  
złotawych,  
Sztandar ognisty masz w rękę, Dniepr w niego cały się  
wsączył,  
Ze wszystkich kłosów żar-słońca, mój złoty snopie,  
wstawaj!

*Florian Nieuważny*



**MARIA Z UKRAINY — NR 62276:  
OD OŚWIĘCIMIA DO ATOMGRADU**

Maria Jaremiwna odprowadza nas daleko za stację Janów.  
Jej bose stopy wieczorną rosę strącają z traw łąkowych.  
Wśród gwiazd — sosen sylwetki.

Kwitną zagony kartoflane.

Skrzy nad Prypecią światłami przysiółek atomowy.

Maria dopiero co z pracy wróciła, zmordowana.

Zdobyła skądś kartofli, przyniosła ich trochę w siatce  
pożyczonej.

Naprzeciw, jak na spowiedzi, usiadła wyprostowana,

Nieswoja jakaś, niespokojna, jakby przestraszona.

Dłonie Marij Jaremiwny chropowate, poplamione farbą.

Na oknie w słoiku z acetonem malarski pędzel namoczony  
stoi.

Na stole fotografie znaczone gorzkich wspomnień barwą —

Maria druha z Oświęcimia wspomina, numer poznaje.

Taaak... Czas blizny goi.

A ten znów — powiada — numer taki a taki, córkę  
niedawno za mąż wydawał.

Byłam na weselu — lało, pamiętam, jak z cebra...

...Podobnie jak wówczas, gdy po raz drugi uciekałam z  
transportu. Spory kawał

Szłam wtedy pieszo. Spałam w lesie — dzika kózka

zabłąkana tuliła do mnie wystające żebra.

W wielu snach, do dzisiaj jeszcze, przybiega do mnie z  
wywalonym jęzorem

Ujadający owczarek, psie ścierwo, i skacze do gardła...

Młoda wtedy byłam, zawzięta... Przetrwiałam tę cholerną  
porę...

W rowach tygodniami sypiałam, aż wreszcie do Kijowa  
się przedarłam.

Ukrywali mnie Polacy — pani Maryjka i pan Stanisław,

To znów cmentarne trawy:

szlakiem cmentarzy idąc, do

domu dotarłam żywa.

Dwukrotnie Polskę i Ukrainę własnymi nogami

zmierzyłam, aż przyszłam

Tutaj... Hitler spalił się na popiół, a ja jeszcze swoje  
pożyję... Tak to bywa...

Maria Jaremiwna uśmiecha się ukazując srebrne uzębienie  
(Dostała na nie pożyczkę — sześćset karbowańców).

W oczach Marii ni stąd, ni zowąd dziwne rozmarzenie —  
Ogród tonący w okwiatach bzu; melodie zapomnianych  
tańców.

Powrót do rzeczywistości — oto jubileuszowy medal i listy od  
pionierów z Woroszyłowgradu:

„Pozdrowienia od wszystkich, jesteśmy zawsze z Panią...”

— Jeśli mówić szczerą prawdę — wtrąca Maria — naj-  
trudniej było znieść, kiedy zgraja zwyrodniałych gadów  
Dzieciaki golusieńkie do gazowych komór pędziła rzędami.  
Dzieciaki jak to dzieciaki — szły, dokazywały.

A matki w szloch, jęk, lament — po rozpaczy krańce!  
Czarnulka jedna — jaskółeczka, widać, mamy pożałowała  
I dalejże przed piecem hopaka dla mamusi wywijają a  
tańczyć.

Przebierała nóżkami goluteńka chudzina na stercie brukwi  
przeklętej,

W prysiu dy poosza!... aż wzięli się chłopcy pod boki...  
Boże... pamiętam, jak cudem ocaleni wsłuchiwalismy się  
w gąsienicowy tętent

Naszyc czołgów... Nie wszyscy doczekali — przez komin  
odeszli w obłoki.

...Obłoki płyną nad nami.

Maria Jaremiwna odprowadza  
nas na kolej.

Z instynktem nietoperza w zmierzchu zarośla wymija  
i krzewy.

— Jestem teraz malarką, potrafię dobrać odpowiedni  
kolor,

Spójrzcie tam: okno mojej szkoły blaskiem w ciemności  
śpiewa.

Dziewczęta w brygadzie dziwią się, a przecież

W żrenicach okiennych świat wygląda jak nowy.

Oparta o parapet, widzę: do szkoły biegną dzieci...

Las śle aromat poziomek i igieł świerkowych...

Dziewczęta w kółeczko tańczą, to znowu sznureczkiem  
suną jak mrówki.

Uciechy tyle z ich tańców — osobliwe to bale...

Szosa, tuż obok, przelatują pięćdziesięcotonowe ciężarówki.  
Marii wydaje się nagle, że jej okna do Atomgradu pasują wcale...  
Zawirowały liście, pograżyły Marię Jaremiwnę w zamieci.  
Samochód kurz drogi rozdarł światłami reflektorów.  
Życie, zakasawszy rękawy, szło dalej... Jak ten czas leci!  
Trudno było uwierzyć, że już jechać pora.

Kobieca historio oświęcimska — Feniksem odżywasz w pokoleniach,  
W Atomgradzie nad Prypecią wątką nie wyczerpiesz.  
Na tym świecie, Mario, życia drogom końca nie ma —  
Dziś zakochanym świecą zorze utkane z Pani cierpień.  
W gigantycznym reaktorze losu jest Pani rozszczepionym atomem,  
Przypomnieniem, iż światło obecnego świata z przeżyć ludzkich powstało.  
I póki istnienia mego ognik płonie, Pani postać znajomą  
I twarz dobrą wiatru tchnienie będzie mi przypominało.  
Pamięć o Pani jest jak widzenie — portret czegoś nieuchwytnego,  
Co wybucha natchnieniem — wielkie słowa jej obraz mącą jedynie i ranią.  
Dobranoc, Mario Jaremiwno! Życzymy dnia dobrego,  
Powtarzając jak owi pionierzy: „Jesteśmy zawsze z Panią!”

Krzysztof Rozner

## MAJSTER DIABLÓW ANTONS ŠMULANS

*Gunarsowi Priede \**

Diabeł ma jedną nogę kogucią, a drugą — jak sami  
widzicie — krowią.  
Ot, taka sobie dysproporcja folklorystyczna, organiczność,  
że jeno patrzeć.  
Dzień dobry Wam, diabli maestro, daj Wam, Boże,  
zdrowie,  
Bo diabły od niego ledwie nie trysną, a Wam się umarło  
na zawsze.  
Każdego biesa wsadzam do dzbanka, do kufla, a nawet do  
garnca,  
Niech się upiją polewą, niech ich ogień przeskwierczy do  
kręgosłupa.  
Tysiące wam takich wylepię — pazernych i od zawiści  
czarnych,  
Bo dla was, jak wiecie, to tylko garnek, dla diabła zaś —  
skorupa.  
Każdemu dam prztyczka w nos, ducha mu wdmuchnę od  
tyłu,  
Niech gwizdże, skoro jest gwizdkiem, bo cóż za trud  
z gwizdkiem się cackać,  
Każda diabła poczwara moich znajomych przedstawia  
tylu,  
Niech zatem wygwizdują, poznając się po omacku!  
Umarłem, powiadacie słusznie, bo diabły mnie porwały,  
Płonęła chata sąsiada, gasiłem, dym dech mi odjął  
i strawił trzewia.  
Rychło od diabłów otrzymam rangę rzeźbiarza-generała,  
Jak czart osmaliłem się cały —  
a skąd mam na siebie wziąć  
tyle polewy?  
Czart sterczy rogami do przodu, kozioł — odwrotnie, nie  
mylicie glinianych cudów,  
Żyłem nie wedle boskich przykazań, lecz z Bogiem  
jesteśmy braćmi — w glinie!

---

\* Gunars Priede — współczesny dramaturg i scenarzysta łotewski.

Strzelałem swoimi diabłami w samo serce obłudy,  
Potrafię z tymi biesami uczciwie świat przepłynąć.  
Turyści chętnie je kupią.

Spece od sztuki zaślinią, do  
znudzenia będą odmieniać.

A jednak Łotwę ojczystą będę słauił z chimerycznym  
uporem.

Sam sławy — na diabła, nie pragnę! Nie chcę sławy dla  
swego imienia!

Będziemy we dwóch bezimienni — z autorem Domskiego  
Soboru!... \*

*Florian Nieuważny*

---

\* Słynna katedra Cystersów z XIII wieku w Rydze.

*...król białocerkiewskie starostwo dał „nakazem rozumu” swojemu dawnemu przyjacielowi Xaweremu Branickiemu. Chmielnickie otrzymał książę Józef. Bohusławskie i kaniowskie — książę Stanisław Poniatowski.*

1775 rok

My — teliżyńskie i tetywskie,  
 Dźwinoskie, michałowskie, skomoroskie,  
 Rosiskie, hołodkowskie i wysockie,  
 My — skwyrskie i wołodarskie,  
 Białocerkiewskie, bohusławskie i kaniowskie,  
 My — bezimienni, my — bydło, my — niemi,  
 My — oracze, pastuchy, siewcy, hreczkosieje,  
 Do ciebie się rwiemy z za liter jak z za krat.  
 Nie mamy rodowodów — i ty nie masz.  
 Już dogrzebałeś się, jak zwali twą prababkę?  
 Pradziad twój kołem łamany był z Hontą\*.  
 Jak na imię mu było, powiesz, że on z Kodni\*\*?  
 Tyżeś to rzodkiew wtedy sadił koło jaru.  
 Potoczyła się głowa pod twoją łopatę.  
 Za wąsów ją precz cisnął — nie tobie się rodzić!  
 Nasza genealogia — cała w czarnoziemiu.  
 Przekazała ją hreczka grochowi i prosu.  
 Pszenica przekazała ją owsu i żytu.  
 Swej genealogii dziegciowej ton  
 Słyszysz w zielonych organach dębów i lip.  
 Hej, rwiemy się do ciebie  
 Przez to księgoksięże, my — spękani,

\* Iwan Honta (?—1768) — setnik na dworze Potockich, chłop pańszczyźniany, wybitny uczestnik powstania hajdamaków. Opiewa go Taras Szewczenko w poemacie *Hajdamacy*.

\*\* Kodnia — wioska koło Zytomierza, gdzie w 1768 roku z rozkazu regimentarza Stempkowskiego stracono około trzech tysięcy hajdamaków, a spośród pozostałych co dziesiątego „znakowano” obcięciem ręki i nogi.

Cośmy nawozili tłusto całą ziemię.  
Przez historyczny asfalt książęcych godności  
Przebijamy się do ciebie trawą zieloną —  
Jej bezimiennością...

*Barbara Dohnalik*

## BALLADA O UŚMIECHU

Ołesłowi Honczarowi

Uśmiech Twój — jest Twoją zagadką, Olesiu.  
Jakim cudem łagodne ciepło, watrę ust  
Zdołałeś w tym uśmiechu z frontu wynieść cało,  
Uchronić przed pomorem faszystowskiej burzy?  
Jak ustrzegłeś dzieciństwa pogodnego czystość,  
Kiedy sława strzelała do płatków uśmiechu,  
Dosięgając go salwą ze stu armat?  
W pieśni pragnę opiewać — człowieka. Ów człowiek  
Wieczny uśmiech ma w herbie — szlachetności znamię —  
Odziedziczone po mamie Tatianie z pól połtawskich,  
Po stokroć ukąpany w przeciwnościach losu,  
Po stokroć wystawiony na goryczy próbę,  
Stokrotnie troski wypieszczony złudą.  
Uśmiech — przedziwny stwór nadprzyrodzony —  
Zda się piskłciem we wszechwładzy słońca,  
Małą ptaszyną w gnieździe warg spierzchniętych.  
Uśmiech — zrodzony z Dniepru wód szerokich,  
Potulny zefirom, wichrom niepokorny.  
Skwitowałeś kwiecień — dają Ci więc kwiaty,  
A Ty z uśmiechem spieszysz — usta w usta...  
Słońce się śmieje. Śmiech na wargach taje.  
Pisklę na moment przysiadła na dłoni.  
Los się uśmiecha, wzrok Twój zaprzędając  
W jasyr miłości — ciemnopiwnej toni.  
Śmiech drzwi na łąkę otwiera o świcie,  
Dźwięczy młodości stuwątkowym echem.  
Po ukraińsku — śmiech oznacza życie,  
Więc życia płomień podsycamy śmiechem.  
Śmiech myśl uskrzydla — siła w wesołości!  
Żart w inkrustacji smutku milknie niemy.  
Śmieje się dobro ze zła ułomności,  
Bo póki śmiechu — póty my żyjemy...

Krzysztof Rozner



**POWIADAJĄ, ŻE W MIKROKOSMOSIE CZĄSTECZKA  
RÓWNA SIĘ CAŁOŚCI  
(Żartobliwy recytatyw)**

Czyżby to była prawda, że cząsteczka w mikroświecie  
Jest równa całości, kochana?  
Czyżby oko równało się tam człowiekowi?

Czyżby turbina równała się samolotowi?  
A maleńki paluszek spoglądał marsowo jak czarny  
pułkownik?

— Witaj — powiada do mnie ucho —  
Jam osiągnęło rozmiary Gogolowskiego Nosa.

Dzisiaj jam usłyszało tyle, ile ty za całe życie:  
Słuchałam Bacha i szeptu kwazarów.  
Ponoć stronica z balem Nataszy  
Równa się całemu tomowi *Wojny i pokoju*.

A kropla rosy na trawie  
Równa się świtowi pełnemu rosy.  
A zapałka w pudełku zapałek  
Zamierzyła uczynić cały pożar:  
— Jestem przecież Herostrates — pierwszoklasista.

Moja kochana, niechaj mówią co chcą fizycy,  
Twoje wargi nie zastąpią całej ciebie.  
A ja pragnę ciebie całej aż do pięt:  
Nie będziemy się zatem kochać w mikroświecie.

*Florian Nieuważny*

## WIERSZE PISANE NA KARTACH PERFOROWANYCH

\*

Karto perforowana! Różowe piersi twoje  
Przebija perforator — wierny giermek liczby.  
A ja słowo na nich zasieję, słowo...

\*

Barwinku mój!  
Kto powiedział, żeś kwiatem cmentarnym?  
Oczy najbłękitniejsze naszej pieśni.

\*

Dawniej, gdym prał pieluchy,  
Myślałem:  
Wywieszę, niech wyschnie  
Flaga mojej porażki.  
Teraz, gdy suszę pieluszkę,  
Myślę:  
Napinam żagiel przyszłości...

\*

Czyngiz Ajtmatow łowi z uśmiechem  
Lecącą nić babiego lata Ukrainy,  
Jak z końskich chrapów białą pianę,  
Co po zbłąkanych przodkach pozostała.  
(Natrętny sen.)

Biegnę bosą po asfalcie,  
Staję na zielonym kwadracie trawnika,  
Taka sobie czapla urbanizacji.

\*

Lampa samotna  
Jak świeczka,  
Jak źdźbło,

Trawka samotna  
Sam na sam z wiatrem.

\*

Trawa chodzi po proszonym,  
Bo jest i źródłem, i gardłem.

\*

Gwiazdy wschodzą  
Z gardeł słowiczych,  
A zachodzą w gardłach  
Skowronich.

\*

Różowe lica nieba na wschodzie,  
Różowe policzki syna na poduszce.  
Dolo, zbaw mnie od marzeń różowych!

\*

Czarne scytyjskie ziarno  
Rojem pszenicznych pszczół  
Przez stulecia do nas leciało  
Szczerbiałą szczyptą. Zamarzło.  
Czeka czarnej dłoni  
Ziemi-matuli.

\*

Jedną bramą z Weimaru wyjeżdża  
Charlotte von Stein.  
Drugą bramą, ukradkiem,  
Wyjeżdża Johann Wolfgang Goethe.  
Tam, gdzie oboje padną sobie w objęcia,  
Uwiązawszy rumaki do buków stuletnich,  
Za sto ileś lat  
Zaszumi  
Buchenwald.

\*

Wieczorem milion plastrów miasta  
Iskry sypie ulicom nad Dnieprem.  
Rano pszczoły idą do roboty —  
Wśród nich ja.

*Jerzy Pleśntarowicz*

## ROZMOWA Z PRZYJACIELEM TŁUMACZEM

Jest coś z bluźnierstwa w przekładzie.  
Spróbuj przełożyć różę — zastąp ją lotosem.  
Wdzięk Afrodyty — Kopciuszkiem bosym.  
Niemoc mieszania zapachów jest w tłumackiej zdradzie.

Przetłumaczyć, przełożyć, dokonać translacji.  
Przełożyć sławę na serdeczny palec słowa?!  
Przełożyć, by nie przeinaczyć i nie spaczyć! A gdzie  
gestów gracja?  
Gdzie są fibry związków słowa? — Ze złota osnowa

Cała jest posiekana innością cudzego oddechu.  
Oddech — cóż z tego, że cudowny, cóż, że dziwny  
dziwosłowem.  
Każde słowo sławne czynem, znakowane heroizmu cechą...  
A ty, kontrabasie, skrzypiec szeptu wtłocz mi blekotem  
do głowy!

Tak. Inaczej nie sposób. Jakże mam inaczej wargi jako  
wargi,  
Jak inaczej słońce jako słońce — tylko w słów  
niebiesiech muszę szukać rady,  
Aby we mnie cudze jako moje zapiekły się gorzkie  
skargi,  
Aby do cykuty nie skakały szalone cykady.

Tak. Niechaj tak. Lecz czy tylko wariacje  
Obcych słów, czy też może subtelna twa sejsmiczność  
Chodzi w moich słowach jak w rabim kieracie  
I narzeka, woła oskarżając o katastroficzność?

Spróbuj jeno słowo w inne słowo wdławić —  
Och i krzyczy, twoje z moim: my — bliźnięta, my — para  
w okowach...  
Nie! Nie będę więcej z pasją przekładu zniesławiał —  
Sam jako tłumacz siedzę w mamrze słowa.

Sam spieszę do Lorki! Opętany pędzę do Nerudy!  
Upajam się jak wniebowzięty jambów i chōrejów jazdą.  
Ale co to, co? Jakby mnie przygniotło nagle tysiąc  
pudów.  
Ach, to ty! No cóż — przetłumacz mnie...  
Strzelaj do mnie — gwiazdą...

*Florian Nieuważny*

## W TOWARZYSTWIE TRZMIELA

Wczoraj grzmiał trzmiel — dziś cisza dokoła,  
Na wskroś przemarzły, ledwie łapkami poruszy,  
Skrzydełek już rozwinąć nie zdoła  
I niemo, tęsknie zagląda do duszy.

Zabieram go, niosę w słońce, gotów  
Oddalić cienie, zbliżyć żar promienny.  
Trzmielowy grzmot dobiega samolotów  
I trzmiel do wtóru huczy na wpół senny.

I zapomniałem o trzmielu, niestety,  
A on rozgrzany startuje z rękawa;  
Ach, nic to czuć ciężenie planety,  
Choć wiatr się z rannych trzmieli naigrawa.

Na sobie ma sweter czarno-złoty,  
Piersi w najszczęśliwym delikatnym złocie.  
Leć, szepcę mu, niech się darzą loty,  
Bo żyć nam trzeba nie w lodzie, lecz w locie!

Południa czas. Aż czuć trzmiela grzmienie.  
Żaden bombowiec w szranki z nim nie stanie...  
Rozgrzał się dzień, gdy wzbił się nad ziemię,  
I jak trzmiel leci na zimy spotkanie...

*Stanisław Ulicki*

## ANATOMIA BŁYSKAWICY

Rzęsiste deszcze zliły się nad chatą,  
Batożyły z pełnego rozmachu ramienia,  
Gromami jak bombami biły i włochatą,  
W płomieni runie, wielką i w blask przebogata,  
Ze smyczy błyskawicę spuścili. Pragnienia  
Miotaly nią. Chatę spalić żądna,  
Wiedźma, w skrzypiących trepach, zamysł swój ukryty  
Spełniła niczym kaprys. I syczące żądła  
Lizały krokwie, zdobne drzeworyty  
W grabinie wypalały. O rety! Ni słowa!  
Dzieli się na dwie części. Za swój ogon chwyta  
Pannica błyskawica, siostrzyca gromowa,  
Rozpalona istota płonie niespożyta,  
Aż spłoneęła —  
Nagle puściła oko błyskawica nowa...  
A ja tej błyskawicy umknąć już nie daję,  
A ja tę błyskawicę w sobie rozpoznaję!

*Stanisław Ulicki*



ZIELONY SZTANDAR JANUSZA KORCZAKA  
(Fragment)

Mój pradziad był szklarzem, pomocnikiem słońca,  
Ja również zostanę w waszej pamięci  
Jako pomocnik słońca.  
Trzymam mocno w swych dłoniach  
Zielony sztandar dzieciństwa.  
Ja, Janusz Korczak, wieczny nauczyciel,  
Kolumb archipelagu Dzieciństwa.  
Byłem lekarzem i składaczem baśni,  
Przeszedłem także niemiecką szkołę —  
Obdarzyła mnie metodycznością,  
Wynalazczością w drobiazgach,  
Surową harmonią wszystkich szczegółów.  
Przeszedłem również paryską szkołę —  
Paryż nauczył mnie myśleć  
O tym, czego nie znamy, o czym nie wiemy,  
Ale chcemy, musimy i będziemy wiedzieć.  
Paryż — to święto, to jutro  
Z jego oślepiającym przeczuciem,  
Z niepokonaną nadzieją,  
Z nieoczekiwanym triumfem.  
Pasję pragnienia i gorycz niewiedzy,  
Rozkosz poszukiwań darował mi wszak Paryż.  
Wielką syntezę dziecka —  
Oto o czym marzyłem często,  
Gdy, spłoniony od wzruszenia,  
Czytałem w paryskiej bibliotece  
Zadziwiające utwory  
Francuskich klasyków-klinicyistów.  
Dzierzę zielony sztandar dzieciństwa.  
Dobre są wszystkie wiatry, co tulą się do niego,  
I wszystkie wiatry w ten żagiel zielony  
Dmą i napełniają go szkwałem.  
Mój ulubiony człowiek — to Czechow.  
Myśmy z nim pisarze obaj i lekarze,  
Powołania nas łączy wspólnota.  
Żyję jak on, przejęty bólem

Za biały świat i za wiśniowy sad.  
Z pragnieniem, by na całej ziemi las zasadzić,  
Z talentem siebie prawdą ograniczyć  
Zawsze i we wszystkim:  
Koło pościeli chorego i siedząc za biurkiem.  
I wiara Czechowa mną powodowała,  
Że ty, a tak, właśnie ty, a nie kto inny,  
Ty — do ostatniej sekundy żywota —  
Zobowiązany, musisz, po prostu powinien  
Uczynić owo przeogromne zło na świecie  
Bodaj o kroplę mniejsze w swojej szkodzię,  
Życie człowieka bez tego  
Jest pozbawione rozumnego sensu.  
Jam jest wszelako najściślej związany  
Z duchowym światem polskiego narodu.  
Dziecięca sprawiedliwość, sąd dziecięcy  
Idea we mnie się zapala  
Hen, z naszych kronik rodzinnych 1783 roku.  
„Niechaj uczniowie — mówią nam kroniki —  
Kiedy nie mogą zgody dojść pomiędzy sobą,  
Wybiorą spośród siebie tretejskich sędziów,  
Niech pośredników powybierają  
Spośród współuczniów swoich...”  
To wszystko jest na zieleni mych sztandarów,  
Które wybuchły krwią w czasach pogardy,  
Lecz nie utraciły swojego połysku —  
Barwy nadziei.

*Florian Nieuważny*

Tak pachnie leśnymi grzybami.  
 Takie wrześnieowe poranki.  
 Przejdźmy się, synu, lasami  
 Zbierać od konserw blaszanki.  
 Na poziomkowe polany,  
 Gdzie tary i szczątki garów —  
 Do diaska we wszystkich laskach  
 Znajdziesz podobnych towarów.  
 Pójdźmy otrząsać rosę,  
 Strącać z trawiastej dróżki,  
 Tam gdzie z najmniejszej bedłuszki  
 Zostały okruszki i nóżki,  
 I tylko flaszki wypite,  
 Rozbite w mak drobny do tego,  
 Kryją się pod muchomory —  
 Kaszkiety dnia dzisiejszego.

Chodźmy, mój synu, do lasu  
 Śmieć zebrać, który go więzi  
 Pośród splątanych drutów,  
 Wśród metalowych gałęzi.  
 Co zrobić, synku, z tym wszystkim?  
 Nie zwlekaj i chwyć za łopatę.  
 „I ty sam chwyć za łopatę,  
 Pomagaj, od czego mam tatę”.  
 Bierz cały ten kram niepotrzebny,  
 Do jamy ciskaj pod nami.  
 Przeproś się tylko z trzmielami,  
 Które tu krążą rojami.  
 Popatrz, jak chytrze zezuje  
 Granatu ośleple oko.  
 Odbierz rynsztunek stokom  
 I skryj żelastwo głęboko.  
 Rzuć wszystkie czołgi, granaty,  
 Rakiety, bomby, śmigłowce,  
 W pysk jamy stworzonej naprędce,

Która ich będzie grobowcem.  
Nie ma zajęcia świętszego,  
Wierzę w to całą istotą.  
Wezwiemy ludzkość do tego,  
Niech zajmie się zacną robotą.  
Jądrowy grzyb zakopiemy  
W najgłębszym otworze — norze,  
A potem, mój synu, wezwiemy  
Dziatwę od morza po morze.  
I będą tu poziomkami  
Zające napełniać nam garnki,  
I chytre lisice przed nami  
Położą białe pieczarki,  
I ptaki błękitne przybędą  
Z truskawek pełnymi dziobami...  
Oby to mogło się spełnić,  
Zdarzyć — nie tylko na niby!  
Tak pachnie leśnymi grzybami.  
Człowieku, chodźmy na grzyby!

*Stanisław Ulicki*

Dziś odwiedziłem kozy. Spotkałem się z dzięciołami.  
 I tabunowi brzózek kiwnąłem swymi kudłami.  
 Padałem i wstawałem. Tak jak w dzieciństwie — od  
 nowa!

Na wszystkich szlakach szukałem, gdzie jest nieznama  
 mowa,

Do ucha las mi szeptał odwieczne swoje przygany,  
 Dąb — kolos wiecznie zielony — dął w konarowe organy.  
 I sójki wlatywały gdzieś za pazuchy sosnowe,  
 Zwyczajne jak świat dokoła i takież zagadkowe.  
 Owczarka głośnym szczekiem rozbrzmiała okolica,  
 Bo ślady w lesie przepadły — tu myszkowała lisica  
 I tropy swoje myliła. Jak wrócić znowu do świata,  
 Gdy cisza działa wytacza, a święta jest każda armata,  
 Gdy w uszy pociski dzwonek wie sieką perliście jak  
 grady —

To serce ciężko uderza i na to nie ma już rady!  
 Co moją duszę ukoi? Od czego w oczach ginie?  
 Dlaczego siebie samej szuka w białej gęstwinie,  
 W zawiei prószącej śniegiem, gdzie wędrowały łosie,  
 Gdzie latu kwaśne wonie nadają gniazda osie?  
 Wśród pniaków poznikały śmigłe miotelki ogonów,  
 A dzień tu stoi jak dzwon — ogromna bania tonów,  
 Dostałem w darze ten dzień, tę chwilę, to westchnienie,  
 Te sosny posrebrzane, w złote przybrane desenie,  
 Te graby, aż do pasa w zieleń paryską bogate,  
 W sweterkach bijących w oczy kolorystycznym batem.  
 Te leszczyn długie wędziska, proste, cieniutkie smyki,  
 Te lodowate przebłyski — błękitne koraliki...  
 Dlaczego dusza tak boli? Dlaczego smutek ją draży?  
 Czemu jest taka zboląła i coraz więcej mi ciąży?  
 To przyciąganie ziemi. To ona ją ciągnie do siebie.  
 Cóż, że pogodne słońce w błękitnym świeci niebie,  
 Gdy jest wołana korzeniem i skibą, i łoziną,  
 I leżką spadła zniecka za wiatru przyczyną,  
 To przyciąganie ziemi silniejsze z każdym rokiem,

Szarzeje nieśmiertelność pod takim urokiem,  
Wszystko, co ziemskie — ziemi. Matki to naszej prawo!  
Rozmyślałam o tym szczerze, dręczony obawą,  
I piję dzień do dna — ten dzień, tę chwilę, to dziwo,  
Które fabułę spisuje okrutną, ale prawdziwą.

*Stanisław Ulicki*

Stoją Marie Skłodowskie-Curie, Mony Lisy, mężne  
Joanny,  
 Koło pralek objęły wartę od samego zarania,  
 Dzisiaj nie będzie ani męstwa, ani wiedzy, ani kochania.  
 Dzisiaj jest pranie!  
 Wyprawy odwołane. Seanse u Leonarda. Dzisiaj bańki  
mydlane są atomami.  
 Król angielski u da Vinci. Dzisiaj Joliot-Curie  
pozowaniem się mami.  
 Dzisiaj i czas zmieniono. Ni minuty, ni nocy, ni świtania.  
 Dzisiaj jest pranie!  
 Po obrusie nieba ciotka Jawdocha tłucze kijanką raźnie,  
 Pierze razem z chmurami koszulę kosmonauty  
i jarmarcznego błazna,  
 Może się zdarzyć, że raketę ciśnie w otchłanie —  
 No bo dzisiaj jest pranie!  
 A jutro trzeba będzie rodzić, miłować, myć podłogi, kurze  
wycierać;  
 Ukochanych mężulków ze „żłobków” pozabierać,  
 Świeże prześcieradła rozścielić, w świeże koszule  
poubierać,  
 A potem jeszcze się dziwić, że z dawnej urody i cienia  
nie zostanie.  
 A dzisiaj jest pranie, dzisiaj — pranie!...

*Florian Nieuważny*

OSTATNI CZYTELNIK — WARIACJE NA TEMATY  
PABLA NERUDY

Ekspedycja na wielbłądach wlecze się po szalonej  
Saharze.

Ekspedycja tylko o jednym na świecie marzy:  
Odnaleźć nie Tamerlana ślady, nie szczątki miecza  
krwawego władcyki —  
Odnaleźć choćby jednego czytelnika!

Ekspedycja na astrolotach leci w kosmiczne głębiny,  
Ekspedycja w zgryzotach poza galaktyki płynie,  
Już resztką wiary wśród ekspedycji znika:  
Odnaleźć choćby jednego czytelnika!

Rozplenili się poeci i superpłodne poetessy,  
A czytelnik wymiera (tak szczęśli niegdyś Irokezi).  
Czerwoną Księżę Przyrody — bierz, czytelniku,  
i wnikaj

W żywot  
ostatniego,  
wszystkożernego,  
nie piszącego,  
jedynego  
czytelnika!...

*Florian Nieuważny*



**PRZYKAZANIE AZTEKÓW — PRZEKLĘTE I ŚWIĘTE  
RZEMIOSŁO**

Nie oczekuj, że znajdziesz nauczyciela  
Wśród dobrotliwych słów i dni,  
Lecz wyszukuj siepacza, dręczyciela  
Z jataganem ciężko nawisłej brwi!

Upodobaj sobie wściekłego nienawistnika  
Z furią w sercu i z mieczem krzeszącym grom —  
Czarnobrewego charakternika,  
Co w rezygnację przemienia zło!

Jak Flaubert dzierżący moc Maupassantową  
W groblach stołu przez wielu lat splot,  
Niech on ścina ci sto skrzydeł na nowo,  
Ty na sto pierwszych — pomknij w lot!

Swoje serce z porażkami pokumaj —  
Najmądrzejsi do takiej nauki dawali klucz!

Nie znajdziesz sobie nauczyciela?! To go wydumaj!  
I od niego, przeklętego, się ucz...

*Florian Nieuważny*

## POSŁOWIE

### Ziemska i słoneczna poezja Iwana Dracza

Nie jest przypadkiem, że pierwszy tom wierszy Iwana Dracza, jednego z najwybitniejszych i najoryginalniejszych poetów radzieckich, nosił tytuł *Soniasznyk*, 1962 (*Słonecznik*) i był świadectwem zauroczenia słońcem, życiem, siłą witalną ziemi ukraińskiej obficie ogrzanej słońcem. To urzeczenie trwa do dziś, czego dowodem jest nie tylko drugi „solarny” tytuł tomu — *Soniaszynyj feniks*, 1978, (*Słoneczny feniks*), ale również słoneczne motywy zbioru *Amerykańskij zoszyt*, 1980 (*Amerykański zeszyt*), oraz tomu *Szabla i chustyna*, 1981 (*Szabla i chustka*).

Nie jest również rzeczą przypadku przywiązanie Dracza do rodzimej ziemi, do Ukrainy, widzianej nie tylko w aspekcie „wsi spokojnej, wsi wesołej” lub brutalnie doświadczonej przez wojnę, ale także przez pryzmat nowoczesności — urbanistycznej, kulturowej. Charakterystycznym wszakże słowem-kluczem, o długiej zresztą tradycji w poezji ukraińskiej, jest „kalina” — „arystokratka o splekanej korze”, wyrastająca z tego gruntu, który stanowi niezbędny czynnik genealogii Dracza, jako że jego „nogi w modnych półbucikach swego śladu bosego nie mogą odnaleźć”.

Jest to nieco przewrotne oświadczenie, albowiem Dracz od dwudziestu już lat, kiedy to brawurowo wdarł się do poezji swoimi oryginalnymi etiudami i balladami, oryginalnie łączącymi świeżość ludowej wycinanki i lirycznej pieśni z nowoczesnością plastycznego widzenia świata umiającego zmieścić w jednej drobnie błysk dalekich planet z lśnieniem lemiesza, ludową i nie pozbawioną humoru interpretację zjawisk z naukowym niemalże ich uzasadnieniem, szuka i znajduje swój „bosy ślad”, jakże znaczący. Stąd obok wyraźnego nawiązywania do rustykalnej, aczkolwiek poetycko przeinaczonej, folklorystycznej tradycji ukraińskiej poezji, z jego utworów przebija zafascynowanie nauką i różnymi jej dziedzinami.

Już pierwszy zbiór wierszy poparty następnym, zatytułowanym *Protuberanci sercia*, 1965 (*Protuberancje ser-*

ca), zaświadczył współlistnienie w poezji Dracza trzech niemalże równoprawnych elementów — budulca jego świata poetyckiego: barwności, melodyjności i refleksyjności, co złożyło się na oryginalny synekryzm poetycki, pozwalający twórczość Dracza uznać za swoistą kontynuację poezji Pawła Tycyny.

Już w pierwszym tomie zaskoczył poeta czytelników nie tylko umiejętnym stopieniem w jedną całość rodzimej tradycji pieśni ludowej ze zdobyczami najnowszej sztuki światowej, ale także niepowtarzalnym darem nobilitacji codzienności i upowszednienia, chciałoby się rzec — udomowienia, zjawisk niezwykłych. Stąd słońce w czerwonej, wypuszczanej na spodnie koszuli pedałuje na rowerze po niebie (*Ballada o słoneczniku*), a najzwyczajniejsze portki wyprane przez matkę i powieszzone na sznurze zostają przyszpilone gwiazdami i wędrują dumnie do nieba (*Ballada o wypranych spodniach*). Wiejska codzienność zostaje przez Dracza nobilitowana nie tylko za pośrednictwem zwykłego podniesienia głosu, dzięki czemu następuje przestoczenie chat krytych słomą w złociste, umyte ultramaryną Partenony, zaś malujące ściany zwyczajne Tekle, Hanny i Paraski przekształcają się w van Goghów w spódnicach i Sarjanów w chustkach (*Ballada o Sarjanach i van Goghach*). Nobilitacja ta, szczególnie uwidoczniiona w tomie *Balady budniw*, 1967 (*Ballady dnia codziennego*), dokonuje się dzięki organicznemu zespoleniu widzenia świata na serio w jego różnorodności od tragedii do aspektów komicznych. W ogóle poezji Dracza właściwy jest mądry i poetycki humor, tak przecież charakterystyczny dla literatury ukraińskiej.

Umiejętność wykorzystywania zasobów śmiechu, otrzymana w schedzie po Kotlarewskim, Neczuju-Łewyćkim, Ostapie Wyszni, żeby już nie wspominać Wasyla i Mikołaja Gogolów, świadczy zarówno o człowieczeństwie talentu Dracza, jak i o jego stosunku do tych wszystkich, którzy nie są w stanie obronić się przed brutalnością, siłą i gwałtem. Śmiech w jego różnych odmianach — w żarcie, ironii, sarkazmie nawet — nie pozwala wpaść w sentymentalność. Dracz nie bywa nigdy sentymentalny, chociaż często wzruszająca wrażliwość, przenikająca fibry tkliwość i ciepłe promieniowanie, idące od fascynacji charakterem

i osobowością zwyczajnych bab wiejskich, jak owa baba Korupczycha, która „każdego węzełkiem obdarzała”, a sama zmarła w pożyczonej chustce, bo swoje „na węzełki rozdała”, od podziwu dobrej mądrości dziadków-pasieczników, matek i ojców, często straszliwie doświadczonych przez życie, a mimo wszystko zachowujących swoje godne człowieczeństwo — mogłyby sprawiać wrażenie, że Dracz spogląda na świat przez różowe okulary.

W rzeczywistości jest inaczej. Sieć słów pleciona w przedziwnej „słowobuceharni”, w mamrze słowa, pozwala na sprecyzowanie postawy poety wobec świata, umożliwia identyfikację jego poetyckiej i życiowej filozofii, jako że przy całym szacunku do bogactwa i różnorodności środków wypowiedzi artystycznej Dracz jest poetą problemów ogólnoludzkich i zarazem zakotwiczonych w realiach rodzimych, ukraińskich, radzieckich.

Poeta używa przewagi siłom Dobra — dostrzega je wśród przedstawicieli ludu, nie ograniczonego do pojęcia chłopstwa. Preferując najwyższe wartości humanistyczne i wyraźnie zdając sobie sprawę z tego, kto jest ichносителеm, Dracz nie spuszcza z pola widzenia tego wszystkiego, co straszne, tragiczne, podłe i złe, co istnieje, atakuje i próbuje poszerzać strefę swoich wpływów. To zło o wielu obliczach, ukryte w minionych dziejach i w teraźniejszości, w trującej atmosferze przeciwników człowieka, postępu, pokoju, w rakotwórczej atmosferze mieszczaństwa, nowoczesnej kulturerii, egoizmu, pazerności, we wstecznictwie, chamstwie i nietolerancyjności w jakiegokolwiek sferze.

W walce z rozlicznymi przejawami zła poeta nie skąpi jaskrawych barw, jadu sarkazmu, śmieszności groteski, ciętych sformułowań, aby wyprowadzić na światło dzienne rozmaite poczwary-przywary, aby wykazać ich miałkość i ohydę. W tej walce zawiera sojusz z rówieśnikami piszącymi w innych językach, a bliskimi mu postawą i ideałami estetycznymi — Andrzejem Wozniesińskim, Ojarsem Vacietisem czy Ryhorem Baradulinem. W tej walce wykorzystuje obok rodzimych tradycji satyrycznych Szewczenki, Franki, antymieszczańskich inwektyw Płużnyka i Bażana tradycje Majakowskiego i Zabołockiego, Préverta i Pabla Nerudy.

W bezpardonowej wojnie, jaką Dracz toczy z przejawami

mi zła, obnaża się jego talent publicystyczny (we wzniosłym znaczeniu tego słowa). Inwektywa, drwina, gniewny werdykt, przekleństwo, patetyka i sarkazm nabierają tu siły, nie przekształcając się w sztamę i krzyk, skrzą się i godzą w „samo serce obłudy”. Władając znakomicie błyskotliwą bronią satyry, Dracz zdaje sobie sprawę, że bez wsparcia pierwiastka konstruktywnego nie może być mowy o skutecznej działalności poetyckiej.

Poeta jest bez reszty zakochany w życiu. Chłonie je w całym bogactwie i mieniącej się różnorodności, ze szczególnym uwzględnieniem jego najistotniejszych aspektów skupionych w triadzie „prawda, dobro i piękno”. „Wszystko obejść i wszystko odnaleźć” — to jedna z maksym, której Dracz pozostanie wierny od pierwszego tomu aż po ostatni — *Szabla i chustka*, 1981. „Ty dni pogardy ciąć się wazysz, sięgać do wnętrza, sięgać trzew...” — pisał w wierszu *Pióro*, nazywając pióro „pierwokwiatem” i „pierwolubem”, co od razu wskazywało na rozumienie poezji jako siły sprawczej, jako posłannictwa i jako radosnego daru.

Równocześnie wszakże pióro dla Dracza to „czarna dola”, „czarny znój”. Poeta musi wbiierać w siebie wszystkie radości i bóle świata, mikro- i makroświata — inaczej nie ma prawa nosić miana poety. Dracz bierze na siebie poczesne jarzmo, wykonuje swój obowiązek-powołanie, odczuwa „głód wesoły” twórczości, zachłanność i mozartowską ekstazę tworzenia, a jednocześnie straszliwą samotność twórcy. Poeta wierzy w demiurgiczną moc słowa i w cel swojej pracy.

I cóż z tego, że czasem spod jego pióra wymkną się słowa narzekania czy bólu, wątpliwości czy niepokoju o ostateczny cel jego misji-roboty? Widać to w ostatnich tomach — *Amerykańskim zeszycie* i *Szabli i chustce*. Cóż z tego, że Dracz często okazuje się w sytuacji twórcy, który wszystko musi zaczynać od początku, na pustym miejscu, dysponując jedynie gliną — słowem?

„A ja za stróża ich postawię Słowo” — pisał Taras Szewczenko, duchowy ojciec Dracza, ustawicznie inspirowany go do „powołania wieczystego”, na całe życie. Słowo jest dla Dracza nie tylko budulcem, sposobem wypowiadania siebie, możliwością reagowania na otaczający go świat, ale oznacza przede wszystkim dopiero powstający i pulsujący

jący w akcie narodzin własny świat poetycki, oznacza możliwość tworzenia, czyli istnienia w kształcie poetyckim.

W wierszach autora *Baład budniw* (*Ballady dnia codziennego*) jest pełno rozważań nad słowem, mówi się o jego kształtach, odmianach, rozmaitych znaczeniach. Słowo raz bywa synonimem sztuki albo też pseudonimem życia, kiedy indziej staje się przesłanką istnienia człowieka myślącego i wrażliwego, w którego imieniu przemawia poeta. Można by napisać spory traktat o wieloznaczności Draczowego słowa, które odznacza się synkretyczną jednością nie tylko odbioru świata realnego, lecz wyrazistością i wiarygodnością w kreowaniu dla czytelnika świata przedstawionego z pomocą doznań wzrokowych, słuchowych i smakowo-zapachowych, szczerze czerpanych ze zrozumienia i lubowania się urodą ziemi i świata. Równocześnie poezja Dracza naładowana jest zdolnością do filozoficznych uogólnień, jako że podłączona jest przez autora świadomie do wysokiego napięcia myśli i zdobyczy intelektualnych całej ludzkości. I dlatego na barwnym i pełnym dźwięków kontynencie poetyckim Dracza równe prawa obywatelskie ma wzniosła pasja patriotyczna Szewczenki, dociekliwość poznawczo-etyczna Skoworody, jak i panteistyczne uwielbienie ziemi Whitmana czy krwiste, nasyczone słoneczną protuberancją, ody i poematy Pabla Nerudy, czy też wreszcie tkliwe i namiętne romance Lorki. To zresztą zaledwie kilka wskazań uzmysławiających powiązania poezji Dracza z tradycją przeszłości i terażniejszości.

Słowo Dracza nabiera siły i giętkości cyrkowego akrobaty, celności promienia laserowego dzięki wykorzystaniu przez niego nie tylko rodzimych źródeł — własnego języka, historii ojczystej, kultury i tradycji narodów Związku Radzieckiego, ale wzbogaca się również kosztem różnych dziedzin nauki, kultury, rzemiosł i zawodów. Banalna wydaje się konstatacja, że Dracz włada słowem jak doświadczony garncarz gliną (poeta często wykorzystuje słowo „glina” w rozważaniach nad istotą twórczości pisarskiej, nad tajnikami powstawania wiersza).

Jest rzeczą zrozumiałą, że wielu oryginalnych utworów ukraińskiego poety nie udało się po prostu przenieść na grunt polszczyzny. Najczęściej tych, w których maestria

oparta jest bądź na kalamburach, bądź na eufonice wynikającej z odmienności językowej, bądź też są to po prostu wiersze wykorzystujące ludową instrumentację zakorzenioną tylko w rodzimych realiach, których nie sposób oddać w innym, nawet tak bliskim jak polski, języku. Tak też trzeba było zrezygnować z wielu *Ballad z krynicy folkloru* czy też z wierszy typu *Dýchały, dýchały wichoły...* lub *Ballada o cybernetycznej świątyni* mających charakter wirtuozeryjnego opisu wersyfikacyjnego i rytmicznego, z uszanowaniem jednak walorów semantycznych.

Nie ma potrzeby rozwodzenia się nad bogactwem leksyki Dracza, nad polifonią jego wierszy, które zawsze, nawet kiedy przybierają kształt „białych” wierszy bez rymów, fascynują muzycznością, zaświadczały swoje pokrewieństwo z melodią języka ukraińskiego, z dziewiczością pieśni, dumy, ballady czy wiośniarki. Wystarczy przeczytać kilka wierszy poświęconych zwykłemu zjawiskom i zwyczajnym rzeczom — *Co to takiego — trawa?*, *Ballada o złotej cebuli*, *Do źródeł* — aby przekonać się o zakotwiczeniu tych wierszy w rodzimym gruncie. Jednocześnie jednak wiersze te nabierają, nie bez woli autora, innego, ogólniejszego, wymiaru w skali ziemi i Ziemi, słońca i Słońca, mikrokosmosu wiejskiej chaty czy Kijowa i całego Wszechświata, z którym poeta zaczął rozmowę w pierwszym swoim poemacie *Niż u Sonci*, 1961 (*Nóż w Słońcu*) i kontynuował ją w tomie wierszy wybranych z tomu *Sonce i słowo*, 1978 (*Słońce i słowo*).

Kolejne odwołanie się do tytułów zbiorów wierszy Dracza skłania do podania kilku encyklopedycznych wiadomości o poecie. Urodził się 17 października 1936 roku we wsi Telizenci na Kijowszczyźnie. Jak wielu pisarzy ukraińskich, przeszedł szereg etapów wspólnych dla większości z nich — szkołę średnią, pracę w Komsomole, pracę nauczycielską, służbę wojskową, uniwersytet, pracę w gazecie i czasopiśmie. Dracz ukończył ponadto kursy scenarzystów w Moskwie, współdziałał w przygotowaniu kilku filmów, napisał kilkanaście scenariuszy (część z nich weszła do tomu *Idę do ciebie*, 1970), kilka dramatycznych poematów, spośród których oryginalnym ujęciem odznaczają się *Słowiczek-Solveig* 1978, *Zorza i śmierć Pabla Nerudy*, 1980.

Oprócz wspomnianych zbiorów wierszy spod pióra poety wyszły tomy: *Poeziji*, 1967 (*Poezje*), *Do źródeł*, 1972 (*Do źródeł*), *Koriń i krona*, 1974 (*Korzeń i korona*), *Kyjiwśke nebo*, 1976 (*Kijowskie niebo*). Do tomów tych weszło oprócz wierszy lirycznych i publicystycznych wiele poematów; co najmniej kilka spośród nich zasługuje na szczególną uwagę, jako że nawet same tytuły wskazują na źródła inspiracji — *Smert' Szewczenka* (*Śmierć Szewczenki*), *Sonata Prokofiewa*, *Syzyj ptach iz hnizdowja Kurbasa* (*Siwy ptak z gniazda Kurbasa*), *Leonardo da Vinci*, *Einsteiniana* i *Zelenyj propor Janusza Korczaka* (*Zielony sztandar Janusza Korczaka*). Dracz jest również autorem kilku wartościowych esejów o poezji m.in. Lorki, Nerudy, Dantego. Jest kunsztownym i wybrednym tłumaczem. Interesuje się żywo polską poezją, filmem, a zwłaszcza teatrem. Spod jego pióra wyszły przekłady wierszy Słowackiego i Norwida. Wiersze Dracza tłumaczono na wiele języków obcych, w tym również na polski (tomik *Do źródeł*, PIW, 1968, kilkakrotne wybory w „Literaturze na Świecie”, w *Antologii poezji ukraińskiej*, LSW, 1976).

Ustawiczne zainteresowanie czytelników ukraińskich i zagranicznych wierszami Dracza wywołane zostało całym splotem przyczyn, spośród których warto wymienić oryginalność rozwiązań poetyckich oraz debiut w okresie „burzy i naporu” młodych poetów radzieckich rwących się do mikrofonu i estrady. W tym samym czasie co Dracz zdobywali rozgłos rozpoczynający wcześniej nieco Dmytro Pawłyczko, Lina Kostenko oraz jego rówieśnicy literaccy — Mykoła Winhranowski, Witalij Korotycz czy nieco później startujący Wasyl Symonenko, Borys Olijnyk, Wołodymyr Pidpały.

Niewątpliwie jednak decydującym motywem popularności poezji Dracza była jej niepowtarzalność. Do zadziwiającego świata jego poezji wchodzi się bowiem jak do huty, gdzie idzie wytop stali z surówki, gdzie płonie ogień, gdzie ustawicznie coś się dzieje — rozlega się łoskot, hałas; dudnienie, gdzie temperatura powietrza błyskawicznie mknie ku kresce, za którą rozpoczyna się gorączka pięknych i zaskakujących obrazów, paradoksalnych myśli, drgań czytelniczej wyobraźni. A wszystkim tym dyryguje niewidzialnie fantasmagoryjny hutnik z wysoko sklepioną



kopułą czaszki, patrzący spoza okularów na świat szeroko otwartymi i zdziwionymi oczami dziecka.

Być może z tego też względu, by sprawniej kierować wyobraźnią czytelników, Dracz często odsiada niekończący się wyrok w „mamrze słowa”, tam zastanawia się nad „recepturą” tych ingrediencji, z których potem buduje, lepi, montuje, komponuje, rysuje i pisze swoje wiersze, a mówiąc wzniośle — tworzy swój świat, mając ustawicznie przed oczami ziemski realny świat — od Teliżeniec poprzez Kijów do Moskwy i Władywostoku, od Ukrainy do USA, od Lwowa do Mediolanu czy Rzymu.

Podwyższona temperatura i intensywny ruch, celowa dynamika wszystkich zjawisk, ludzi, przedmiotów, pojęć, tak charakterystyczna dla poetyckiego „teatru wydarzeń” Iwana Dracza, stwarza ową „inność”, specyficzny kąt nachylenia w przedstawianiu dnia codziennego i świąt. Mamy tu do czynienia ze swoistym festynem codzienności i zwyczajnością cudu. Dzieje się tak niezależnie od tego, czy miejscem owego „teatru”, festynu będzie wiejska chata łąpiąca kratą okienka na świat, pasieka czy laboratorium biologa albo fizyka, pracownia architekta czy rzeźbiarza, czy też makrokosmos, wszechświat z królującym w nim Słońcem. Wszędzie za dotknięciem ręki tego „więzienia słów” i obrazów zaczyna się misterium buffo, błyskotliwa feeria i słowo staje się ciałem poezji.

Cebula-Kopciuszek zaczyna swój strip-tease przedśmiertny, „nóż sam — na drewnianej misie, do sprawiedliwej treści obnażony”: Chata Strzechówna otwiera gościnne objęcia na przyjęcie każdego, najzwyklejsza trawa przekształca się w „strzałę chlorofilu na zgraję diabelską”, samolot, który upadł z nieba na ziemię, szlocha w barwinku, ogórki wylegują się na plaży warzywnika kurząc przy tym papierosy, czytając gazety i debatując nad dziwnością świata.

Ziemia sownie skąpana w słońcu mieni się wielobarwieniem traw, krzewów i kwiatów, rozbrzmiewa wielogłosem ptaków, owadów i ludzi, ńęci zapachami. Już nas nie dziwi zaskakująco śmiesznie wyglądający, „filozoficznie” rozdyktowany warzywnik ani świerszcz usiłujący zagrać morzu triumfalny hymn w tonacji majorowej, kiedy ciągle słychać nutę requiem. Nie dziwi to, że trzmiel nosi

„czarno-złoty sweter”, że dostrzegamy, jak perforator — „wierny giermek liczby” — przebija różowe piersi karty w maszynie liczącej. Jest to bowiem, mówiąc słowami samego poety, „karkołomna złożoność wszelkiego mędrkowania w przenaivnym widzeniu świata”!

Takie połączenie pozwala poecie dostrzec prawdziwy sens wysiłku Dantego i Szewczenki, zobaczyć pasję poszukiwań Corbusiera i Kryczewskiego, etyczną głębię koncepcji „ukraińskiego Spinozy” — Hryhorijsa Skoworody i naukową przezierczość Norberta Wienera. Splot wyrafinowania i naiwnej prostoty, pierwiastków ziemskich i kosmicznych, kwestii ogólnoludzkich i narodowych pozwoliły Draczowi dostrzec nadrzędność postawy Janusza Korczaka, całożyciowej ofiarności ukraińskiego pedagoga Suchomłynskiego, ambiwalentność następstw genialnych odkryć Leonarda da Vinci.

Nie ulega wątpliwości, że takie nastawienie wobec świata, siebie i ludzi, jakie prezentuje w praktyce poetyckiej Dracz, umożliwia mu (i czytelnikom) docieranie do sedna zjawisk, do ich wielkości kryjącej nierzadko śmiech, łzy, mądrość i miałość, poryw wzniosłych myśli i przyziemny powab szczegółów obyczajowych. W różnorodności ujęć Dracza jest wreszcie Historia i Dzień Dzisiejszy w ich chimerycznym sojuszu, który frapująco i po mistrzowsku umie przedstawić ten wybitny ukraiński poeta, nie od dziś darzący sympatią na równi ze swoją ojczyzną nasz kraj i naszą kulturę.

*Florian Nieuważny*

Ballada o słoneczniku (Florian Nieuważny)	5
Lwia etiuda (Bazyli Nazaruk)	6
Łza Picassa (Florian Nieuważny)	7
Słowo (Józef Waczków)	9
Pióro (Florian Nieuważny)	10
Jesienna etiuda (Florian Nieuważny)	11
Robota i Rozrywka (Florian Nieuważny)	12
Sosna (Włodzimierz Stobodnik)	13
Kalina (Jerzy Pleśniarowicz)	15
Leśny sonet (Florian Nieuważny)	16
Niemie bracia — drzewa (Józef Lenart)	17
Skrzydła (Florian Nieuważny)	18
Z Pieśni nad pieśniami (Tadeusz Nowak)	20
Dziewczęce palce (Florian Nieuważny)	22
Ballada twórczości (Bazyli Nazaruk)	23
Ballada o skowronkach (Florian Nieuważny)	24
Ballada o genach (Florian Nieuważny)	27
Ballada o koniach (Florian Nieuważny)	31
Ballada o złotej cebuli (Florian Nieuważny)	34
Babusieńka (Florian Nieuważny)	36
Ballada kinowa (Florian Nieuważny)	38
Charlie i Chaplin (Florian Nieuważny)	39
Warzywna ballada (Józef Lenart)	41
Ballada o zawiniątkach (Tadeusz Nowak)	43
Ballada o dwóch łabędziach (Florian Nieuważny)	44
Ballada o otwartych dziecięcych oczach (Florian Nieuważny)	45
Ballada rodu (Florian Nieuważny)	46
Co to takiego — trawa? (Tadeusz Nowak)	47
Ofelia (Waldemar Gajewski)	49
Świerszcz i morze (Waldemar Gajewski)	50
Dwadzieścia osiem (Jerzy Litwiński)	52
Wciąż o tym samym (Florian Nieuważny)	54
* (Przepadło, przemknęło, przeleciało) (Florian Nieuważny)	55
* Kobieta i morze (Florian Nieuważny)	56
* Do źródeł (Jerzy Litwiński)	57
* Ballada o Karmaluku (Barbara Dohnalik)	59
* * (22 czerwca 1966 roku o godzinie piątej wieczorem) (Jerzy Pleśniarowicz)	61
* Kijów z oczami słońca i miesiąca (Florian Nieuważny)	62
* Maria z Ukrainy — nr 62276: od Oświęcimia do Atomgradu (Krzysztof Rozner)	64
* Majster diabłów Antons Smulans (Florian Nieuważny)	67
* Głos aż spoza dwustu lat (Barbara Dohnalik)	69
* Ballada o uśmiechu (Krzysztof Rozner)	71

Powiadają, że w mikrokosmosie cząsteczka równa się całości ( <i>Florian Nieuważny</i> ) . . . . .	72
Wiersze pisane na kartach perforowanych ( <i>Jerzy Pleśniarowicz</i> ) .	73
Rozmowa z przyjacielem tłumaczem ( <i>Florian Nieuważny</i> ) . . . .	76
W towarzystwie trzmiela ( <i>Stanisław Ulicki</i> ) . . . . .	78
Anatomia błyskawicy ( <i>Stanisław Ulicki</i> ) . . . . .	79
Zielony sztandar Janusza Korczaka (Fragment) ( <i>Florian Nieu- ważny</i> ) . . . . .	80
Grzybowa fantazja ( <i>Stanisław Ulicki</i> ) . . . . .	82
Przyciąganie ziemi ( <i>Stanisław Ulicki</i> ) . . . . .	84
Pranie ( <i>Florian Nieuważny</i> ) . . . . .	86
Ostatni czytelnik — wariacje na tematy Pabła Nerudy ( <i>Florian Nieuważny</i> ) . . . . .	87
Przykazanie Azteków — przekłete i święte rzemiosło ( <i>Florian Nieuważny</i> ) . . . . .	88
Posłowie ( <i>Florian Nieuważny</i> ) . . . . .	89

Obwolutę i tłoczenie projektował Andrzej Darowski. Redaktor Ała Sarahanowa. Redaktor techniczny Bożena Korbut. Printed in Poland. Wydawnictwo Literackie, Kraków—Wrocław 1983. Wyd. I. Nakład 2000+180 egz. Ark. wyd. 4,1. Ark. druk. 6,25. Papier druk. mat. kl. V, 82×104 cm, 70 g. Oddano do składania 19 X 1982. Podpisano do druku 24 III 1983. Druk ukończono w kwietniu 1983. Zam. nr 574/82. K-11-244. Cena zł 85.— Skład i druk Drukarnia Narodowa Z-1, Kraków, ul. Manifestu Lipcowego 19. Oprawa: Spółdzielnia Przem. Art. „Stalodruk”, Kraków, ul. Esztery 18.





Cena zł 85.—

117/83

117/83

ISBN 83-08-01016-4